



OPATOWLANIN

Czasopismo Towarzystwa Przyjaciół Opatówka

5 / 105

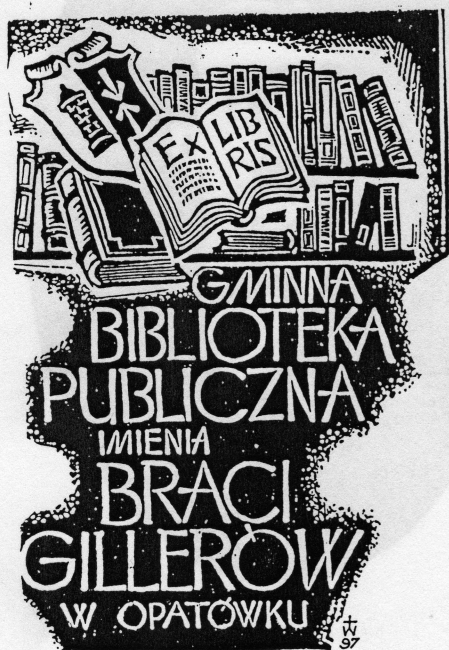
Maj

1999

Wydanie specjalne

z okazji

nadania Gminnej Bibliotece Publicznej w Opatówku
imienia Braci Gillerów



Agaton i Stefan Gillerowie to opatowianie, którzy chlubnie zapisali się w historii i literaturze polskiej.

Urodzili się w Opatówku w wykształconej rodzinie o patriotycznych tradycjach. Ich ojciec – Jan Kanty Giller był ponad 20 lat burmistrzem Opatówka. Obaj walczyli o niepodległą Polskę - Agaton poprzez czynne uczestnictwo w ruchu niepodległościowym, a Stefan jako poeta i pedagog.

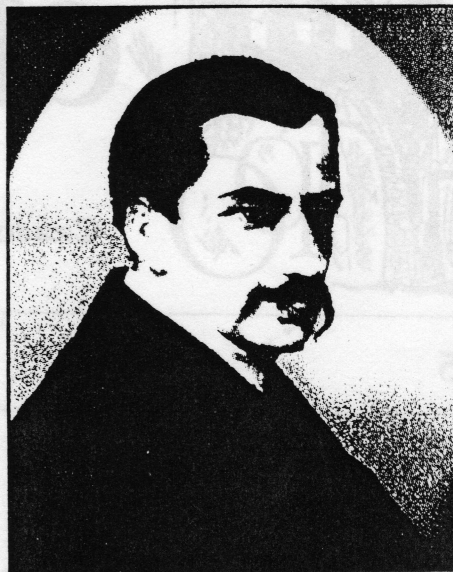
Agaton opuścił Opatówek w dzieciństwie, kilkakrotnie wracał tu na krótko, by ostatecznie wyjechać w grudniu 1863 r. Nie założył własnej rodziny, tułał się po świecie i dlatego dom w Opatówku pozostał dla niego na zawsze domem rodzinnym, o którym myślał i o który się troszczył.

Jego młodszy brat - Stefan - spędził w Opatówku nie tylko dzieciństwo. Powrócił tu po przejściu na emeryturę i śmierci drugiej żony. Swoje popularne utwory publikowane na ziemiach polskich oraz w pismach emigracyjnych na zachodzie Europy i w Ameryce podpisywał – „Stefan z Opatówka”.

Agaton Giller (1831-1887), działacz

polityczny, dziennikarz, historyk. Uczył się w Kaliszu, Warszawie i Łomży. Za działalność niepodległościową był więziony najpierw w więzieniu pruskim, potem austriackim i w Cytadeli Warszawskiej. 6 lat spędził na zesłaniu syberyjskim. Po powrocie do kraju w 1860 roku związał się z prawicą „czerwonych” i uczestniczył w patriotycznych manifestacjach. W okresie powstania był członkiem Rządu Narodowego oraz redaktorem „Ruchu” i „Strażnicy”. W grudniu 1863 r. emigrował do Saksonii i Szwajcarii. Był redaktorem i wydawcą czasopisma „Ojczyzna”. Aktywnie działał wśród polskiej emigracji. Od 1870 roku mieszkał we Lwowie, a od 1878 r. w Rapperswilu, gdzie był jednym z najbardziej oddanych pracowników Muzeum Polskiego. W 1884 r. powrócił do Galicji. Kontynuował tam pracę publicystyczną i naukową. Zmarł w Stanisławowie i został pochowany na miejscowym cmentarzu. W 1981 roku Związek Narodowy Polski w Ameryce, który uważał go za swojego ojca duchowego, przeniósł szczątki zmarłego na warszawskie Powązki.

Agaton Giller był autorem wielu prac historycznych, biograficznych i publicystycznych: (*Podróż więźnia etapami do Syberii*, *Opisanie zabajkalskiej krainy w Syberii*, *Groby Polskie w Irkucku*, *Historia powstania narodu polskiego*, *O serwilizmie i serwilistach*, *Wieczory Wielkopolina* i innych).



Stefan Giller (1833-1918), poeta i

pedagog. Po ukończeniu Wyższej Szkoły Realnej w Kaliszu samodzielnie uzupełniał wykształcenie i pracował w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie. W 1862 r. otrzymał posadę nauczyciela w gimnazjum kaliskim. Przez 35 lat wpał młodziemży umiłowanie ojczystego języka, literatury i historii. Aktywnie uczestniczył w życiu społeczno-kulturalnym Kalisza i Opatówka: organizował obchody jubileuszów artystycznych i literackich, wygłaszał mowy okolicznościowe, wspierał akcje oświatowe.

Stefan Giller był dwukrotnie żonaty: z Teresą Röhrens (1858-1870), z którą miał dwóch synów i cztery córki; następnie z Anną Skalińską (1887-1908). Z sześciorga jego dzieci tylko troje dożyło wieku dorosłego i tylko jedna córka przeżyła ojca. Zmarł w Opatówku i został pochowany w rodzinnym grobowcu na miejscowym cmentarzu.

Był autorem poezji i prozy, w których zawarł uczucia narodowe i kult rodzimych tradycji. Przekładał także utwory literatury obcej. Swoje wiersze publikował w pismach we wszystkich trzech zaborach oraz w prasie polonijnej w Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Osobno wydał: *Elegie i sonety*, *Krótkie curriculum vitae Matyjasza, co zwan był Kobeźnikiem na Wilczej Ustroni*, komedię *Nowe drogi*, powieść *Do ostatniej kropli*, poemat *Jan Kochanowski z Czarnolesia*, za który otrzymał I nagrodę w konkursie poetyckim w Warszawie w 1881 roku.



„*Krótkie Curriculum Vitae Matyjasza*
co zwan był Kobeżnikiem na Wilczej Ustroni.

Wedle słów pewnego starego tradytora w rym ujęte i światu przedstawione
*przez Stefana z Opatówka*¹



Rys. Władysław Kościelniak

Quam sunt fata similia! Po głowie się macam,
I jak człowiek co szuka, oczy przed się zwracam;
Slizgają się dwa palce w poprzek po łysinie:
Nie ma na czym się ostać wzrok na karczowinie...
I rzewno mi jest patrzeć w poleśne pustkowie...
Otóż z lasem na ziemi, co z włosom na głowie!

Bo ono trzeba wiedzieć, że dawnymi czasy,
Z południa i z północy schodziły się lasy:
Od gór, mówię, Chrobackich, Morza Bałtyckiego
Aż do Częstochowy, do centrum świętego;
I tu już jakby dalej iść się nie wazyły,
U stóp się Jasnej Góry wieńcem położyły

A że to lasy dawne, o których rzecz czynię,
Były, rzekąc, dąb w dęba starosty w dębinie,
Przy których klony, świerki, wiązy, buki, graby,
Kupiły się w gromadę, jak czeladne draby.

A człowiek staroświecki, co bił dzicz pogańską,
Konterfektował wszystko z tarczą chrześcijańską;
Stąd też i ów pas boru, z gór do morza brzegu,
Quasi starą husarię stojącą w szeregu
Przed Najświętszej Panienci lechicką stolicą,
Nazwał więc po swojemu „Panieńską strażnicą”

Jakoż się owo imię sprawdzało w tym czasie,
Dopokąd stały dęby na strażniczym pasie.

¹ Rosochatka, to miejsce w pobliżu Opatówka, gdzie rodzina Gillerów posiadała ziemię. Z Rosochatką wiążą się legendy i serdeczne wspomnienia Stefana i Agatona Gillerów. Tekst poematu publikujemy na podstawie rękopisu znajdującego się w Bibliotece Kórnickiej PAN. (przyp. red.)

Mówili mi starcowie, którym wierzyć mogę,
Że raz tu w nim Husyci zatracili drogę,
Kiedy nieśli klejnoty zabrane z klasztoru;
Błąkali się wszerek i wzdłuż po cienistym boru,
A ilekroć już pewni, że do kresu przyszli,
Zawsze się w onym punkcie znaleźli, skąd wyszli
I dotąd kołowali w opaczonym kierunku,
Pokąd im żołnierz polski nie odbił rabunku,
A tak więc, *quam est semper* i ta *male parta*,
Jako mówi makaron, wyszła im na czarta.

Za króla, co nieszczęścia liczył na tysiące,
Za Jana Kazimierza, Szwedy bobrujące,
Gęstą kupę rajtarów, z chciwym knechtów gminem,
Włazły w pas on strażniczy, przed, czy za Olsztynem?
Aliści dęby stare, czując wraże plemie,
Poczęły się chwiać całe i walić na ziemię,
I przygniatać tę splazę, gdzie stała rajtaria.
Tak to ongi broniła ta leśna husaria,
Virtuti miraculi potężnego Boga,
I nie wyszła już z pasu żadna szwedzka noga,
Tylko dusze – do piekła.

Jak długa granica,
Miała dwa pasy leśne Panieńska strażnica,
Ten, co się od gór spuszczał, górskiego miał miano,
A co z morza wychodził, morskim go przezwano.
Pas morski pięć województw oddalonych spinał;
Na bagnach się w pomorskiem od morza poczynał,
Zgnieźnieńskiego w poznańskie wschodnim skrzętem wbiegał,
Przez kaliskie z sieradzkim w podłuż się rozlegał,
A gdy ziemię wieluniąską przerzynał jak po sznurze,
Łączył się z pasem górskim tuż przy Jasnej Górze,
Która w centrum ich stojąc i wiążąc je z sobą,
Błyszczała niby spinika szmaragdu ozdoba.

Za mej jeszcze pamięci, w naszej okolicy,
Dochował się ślad pasu Panieńskiej strażnicy,
Choć już, jak wyspy, na nim stały karczowiska,
A na nich kupy osad, jak świeże mrowiska.
Stoją mi dotąd w myśli, siekierą nietknięte,
Te okiem nieprzejrzane, cyfrą nieujęte,
Szanowne w cieniu lat swych i tym cieniem sławne,
Wiece leśnych starostów – one bory dawne,
Co pono były pokłon Mieszkowi w postrzyżyny...
One bory: Dębego, Szczytnik, Bukowiny,
One: Brzezin, Jasionny, Klonowy, Chajowa,
Sokolnik i Dąbrowy, Wierzchlasu, Turowa,
Jaworzna i Szyszkowa, Lipia, Wilkowiecka,²
Że o innych przemilczę.

Gadka staroświecka,
Jak kur leśny wypłoszon z swych wiosennych wczasów,
Głuży mi po pamięci onych dawnych lasów,
I jedno przypomniawszy wiele przypominałem...

Opowiem więc Waszeci, co sam zasłyszałem,
Gdym się z pieski za liszczą ganiał na koniku,

² Są to nazwiska wsi dawnego województwa kaliskiego i sieradzkiego, których bory łączyć się miały w pas jeden, docierający do Częstochowy, i tu wiążący się z borami krakowskimi, śląskimi przez Olsztyn i Herby. Za tradycją przemawia nawet sama nomenklatura leśna cytowanych wsi i dochowane przy większej ich liczbie aż dotąd – dość rozległe bory (przyp. Stefan z Opatówka)

O pewnym Matyjaszu, leśnym kobeźniku...
A choć w tym *Curriculum* nadarzy się przerwa:
Audi puer attente, et quid audis – serva
Intra clarum memoriam, ad majorem gloriam,
Tam temporum aliorum, quam rerum veterum.

Otóż to w one leśne, *dico*, lepsze czasy,
Gdy się bory zrastały na strażnicze pasy,
Była tutaj dolina borem opasana,
Alias Wilcza – Ustroń *vulgariter* zwana,
Ze wilczyce tu co rok na wypłód chadzały.
Wygon to był nie duży, ale też nie mały,
I obejść go wokół nie szłoby ci sporo,
Bo w poprzek jedną staję, a w podłuż miał czworo,
Przy tym boki zatłoczone gąszczem wielorakim.
Głogiem, cierniem, jeżyną i innym chruśniakiem.

Tu oto w tej dąbkami porosłej leszczynie,
Płynęło też źródelko, co i teraz płynie,
Tylko znikła ta chatka co stała na świadki,
Że odeń wziął zakątek przezwę „Rosochatki”³
Rosły jak w czworaki, jak gdyby pod miarę,
W dość prostej paraleli – cztery dęby stare.
Architekt, co zamyślał budować w tym lesie,
Podwalił pod nie bale na cztery przyciesie,
Sklinował przy rosachach czterema przycięgi,
Na powalę zarzucił jedlinowe drągi,
Przytwierdził niskie kozły i w górę nastroszył
Mchem lekkim, nieprzesiakłym, pokrył je i poszył.
W czym mu też pomagały ptaki należycie,
Siejąc wrzos i bylicę na meszne poszycie.
Wypłócił potem ścian cztery grubawą łożiną,
Pozatykał mchem szpary a dziury darniną;
Z tyczek komin podźwignął i gliną ogładził;
I tak prostym rozumem chatkę wyprowadził.

Że zaś ta chatka meszną wśród boru głuchego,
Wyglądała pociesznie, jakby coś żywego,
Że w dęby wklinowana do samego rdzenia,
Zdawała się wyrastać z wspólnego korzenia,
Przy tym, że i budulec prosto cięty w boru,
Nie znał piły ciesielskiej, ani też toporu;
Że więc po niej, tu – ówdzie, sterczał sęk niegładki,
Stąd zyskała i słusznie przezwę Rosochatki.
Dopieroż, gdy wieczorem lub o wczesnym świcie,
Spadały mgły kroplami na meszne poszycie,
I na po nim rosnące bylice i wrzosi,
To już ta Rosochatka była chatką z rosy.

Stała też Rosochatka za doprawdy składnie,
Choć trochę przykośno i nazbyt zasadnie!
W obejściu był tu oraz porządek wszelaki,
Co wnet się sam pochwali, gdy opowiem jaki?

Na podwórku, za chatą, takiej że struktury,
Strzecha była na słupach, a przy niej wilk bury,
Co dla swych sentymentów wołan był Pokorny.
Jakoż wcale niepyśzny, układny i dworny,
Ujęty za obrozę w skręcone powrozy,

³ Jest to miejsce za Opatówkiem ku Cieni, jedno w tej okolicy z najpiękniejszych. Droga do Rosochatki prowadzi przez obszerne karczowiska porośnięte gęstym, niskim jałowcem (przyp. Stefan z Opatówka)

Pilnował skromnie stajni i szopy na wozy.

W stajence klaczka Rzeška z konikiem Drabantem,
Żyły w zgodzie przykładowej z baranem Dyszkantem,
Choć tenże rej przy żłobie wyłącznie prowadził,
Co dziwniej, Pokornego nieraz w bok usadził...
A Pokorny, znać ćwiczon w sąsiedzkiej dworności,
Najpokorniej ponosił bodźce życzliwości,
Szczercząc zęby, dmąc w kułak paszcząką kłapiatą,
Jako zwyczaj jest mówić.

W zaroślach przed chatą

Ogrodzony kołami, nad strużki pobrzeżem,
Był zwierzyńczyk, nasadzon co łatwiejszym zwierzem.
Na którym się wpały myśliwe sokoły.
Skakał tu przy sarence króliczek wesoly,
I zajączek kusajda, z jelenkiem wysokiem

W zwierzyńczyku, w pośrodku, na drażgu wysokim
Stał gołębnik okrągły. Zamiast chorągiewki,
Na bocianich piszczelach, odzianych w cholewki,
Z tołuwem i głowizną paździerzem wypchaną,
Z zawieszoną na kręgach strzępiastą sukmaną,
W kapeluszu z piórami puchacza i kraski,
Udaną dzierżąc strzelbę z jałowcowej laski,
Czatował ślepy trafar, *vel* straszek na ptaki,
I celował ze szczytu, jak Zoilus jaki,
Co się składa i mierzy, wszelakoż nie spuści...
Jakoż mu na rusznicy, przy samej czeluści,
I na głowie wróbelki siadały niegrzecznie...
Jeno leśnik skrzydlaty, po dworsku, statecznie
Obchodził się z tym dziwnym a strasznym subiektem
Estymując w obłokach z należnym respektem.

Przed drzwiami Rosochatki, wysmukła borówka,
Chodziła na łańcuchu liszka Adwentówka,
Tak zwana dla skromności godnej podziwienia!
Która ją salwowała od postu strefienia,
Nauczała pogardzać mięsnych pokus głosem,
Co wabiły do grzechu tuż pod samym nosem,
I trzy sensa, laskoczące, zaostrzały czwarty,
Na kury, kaczki, gęsi najwścieklej zażarty;

Owóz i z człkiem chytrym toż samo się staje...
Czego w pazur nie imie, nie waży za jaje,
I taka wzgarda rzeczy więc mu we łbie siedzi,
Jak liszki na łańcuszku dla śmietnej gawiedzi.

Wzdłuż całego okapu, tuż pod strzechą chatki,
Wisały długim rzędem różnokształtne klatki.
Były w nich posadzeje z głośnymi wabiami,
Dobre wielce na służbie przy łowach z sieciami:
Turkawki turkające, gruchliwe gołąbki,
Makolągwy pogwizdne i donośne ziąbki,
Jemioluchy skwierczące, ciurkliwe dzięcioły,
Kosy, szpaki poświsne, piskotne kwiczoły,
Gile, czyże, przepiórki, szczygły i sikory,
Skowronki i ledwuchny⁴ i inne kantory,
Które wszystkie o świcie, rannymi dyszkanty,
Chóralne, na dzień dobry, śpiewały kuranty.

Po ścianach, niżej klatek, szły kołki drewniane,

Na których były ongi przyrządy wieszane,
Do łowiectwa wszelkiego na ptaka i zwierzę:
Więc włóczki, czyli lepiej powietrzne kacerze,
Sprężyny – samolówki i siatki – zawiaski,
Wędki pasie: wątony i zradne potrzaski,
Spary do poruszania: z sidelkami tykle,
Ponoża, które zowią obręczowe wikle,
Szaterek, który z płót na zielonego bywa,
I w którym się na czatach rad łowczy ukrywa
Płachta ze łbem bydlęcym, farbowaną korą,
Którą na się myśliwi by zejść stada, biorą;
Żelaza na borsuka, na kunę, na wilka,
I piszczałek przywabnych wisiało też kilka:
Przepiór z kości łabędzia, zgrabnie wyrzezany,
Dobry na przepierzyce i na one brany,
Kuwiek z samiej piszczeli na pučki i sowy,
I kwiel z rogu na drozdy, na kosa – cynowy,
Oraz trąbka chartówka do polowej szczwanki,
I róg gończy – kniejowiec, na leśne naganki.

A wisieć to tu miało w tak pięknym porządku,
Tak każde na swym miejscu, na kołku, na prątku,
Tak – nic dodać, nic przydać, nic ująć, nic schować,
Że było na co patrzeć i czym się radować...
Tak składnie, choć gromadnie.

Dwa jelenie rogi

Rosochate, zjeżone gęstymi odnogi,
Nad drzwiami Rosochatki przybite sterczały.
Na rogach, po gałęziach sokoły siedziały,
Łowce szlaków powietrznych szlachetne i bitne!
Krzeczot rudy, co nogi zwykł miewać błękitne,
Kobus raby po części a po części kary,
I drzemlik pomierniejszy jarzębato-szary,
Oraz kurnik – jastrząbek i dwa krogulaszki
Wpaszone na przepiórki i pomniejsze ptaszki.
I siedząc one łowce, wsłuchując się w bory,
I w kwilące tuż obok po kłatkach kantory,
Rozmyślały szeroko o niebieskich łowach,
Niby mnichy pierzate w skapturzonych głowach.

Przestąpiwszy próg chaty, wnet pieski ciekawe
Zaraz do Cię na wstępie, pytając o sprawę,
I wietrząc chęć ukrytą, podnosiły pyski
Z rogoży w kącie chaty, zza obrocnej miski
A było wszystkich pięciu: Ujadacz, Dusiciel,
Rozbój, Potrop, Doskwierka; i znać, że karmiciel
Mądrze je wyhodował na owsianej tłuczy,
Która zdrowo posila, wszelakoż nie tuczy,
Zwłaszcza gdy się odmięsną pomyjką podlewa,
Bo im zeber nie wzdęły rozepchane trzewa,
I smagło wyglądały.

Na lewo od sieni

Wchodziłeś do ptaszarni, do której w jesieni,
Gdy akwilon ściał wody i dmuchnął śniegami,
Wsadzały się sokoły u klatki z ptakami,
Jeno mnichy w dystancji od kantornej cizby
Na prawo zaś drzwi wiodły do mieszkalnej izby.

Gospodarz znać niewprawny w pisienne mozoły,
Posadził kredą na drzwiach trzy grube gryzmoły,
Które symbolowały Trzech Króli w pochodzie,
Wyżej nieco krzyż skośny, jak gwiazdę na wschodzie,
A pod nią wyraziście bieżący Rok Pański.
Dzisiaj, sam jeszcze tylko kmiotek chrześcijański,

⁴ Ledwuchna, skowronek borowy (S.G.)

Tak drzwi obwarowywa w doświadczone *signa*,
Że do nich złego człeka zła dola nie przygna...
I dopokąd mu na drzwiach stoi to pisanie
Miłościwie dlań lata płyną nieprzerwanie.
A człek każdy, co wstąpi na izdebne deski,
Gościnne niesie cnoty, niby dar królewski,
I Boga pochwaliwszy, w prostym mu poklonie
Skląda serce, jak złoto, a mirrę i wonie
W rzetelnych, szczerych chęciach

Do prawej futryny
Przybita była gwoździem kropielniczka z cyny,
Której wodą przychodziń zęgał się za progiem,
Jakby pragnął oświadczyć, że wstępuje z Bogiem,
I czyste swe intencje chce poświęcić jeszcze...

Jak izba wyglądała, w krótkich słowach streszczę.
Była jako dawniejsze: biała i nieciasna,
O trzech oknach szerokich, więc widna i jasna,
Z piecem aż pod sam pułap glinianym, pękатым,
I z przypieckiem, w kształt ławy, szerokim, płaskатым.
Na środku stał przykryty stół wielki, dębowy.
Na nim był bochen chleba, sól i dzban cynowy,
Przekąska, którą i dziś stawiają dla gości.

Ale była w tej izbie *raritas* rzadkości,
której już nie zobaczysz - chociaż by cię *vena*,
Per modum ciekawego w beczki Dyogena,
Wyciągnęła pójść szukać jej po świecie całym -
I choćbyś tak szukając z świeczką o dniu białym,
Wstępował w każdą chatę i dworek szlachecki...
A był nią; u pułapu podciąg staroświecki!
Prosta belka, lecz naszym gołym niepodobna,
W różne głoski i kształty rzezane ozdoba.

Na jednym więc jej końcu, Imię Jezus święte,
Było dłutkiem wżłobione, i w nimbus opięte.
Na drugim stał w koronie, z cierniami ostrymi,
Krzyż Pański z mąk narzędzmi, a pomiędzy nimi,
Począwszy od Imienia w nimbusowym słońcu,
Szedł wzdłuż belki do krzyża, na drugim jej końcu,
Długi, wąski, jak ona, epigramat „Na dom”.
Powtórzę, bo rzecz rzadka i dobrzem go świadom,
Jako bym sam wdłutował

<i>Ja w Imię Twoje</i>	<i>Powódź nie splawi,</i>
<i>Podżwignion stoje.</i>	<i>Ziemia nie strawi.</i>
<i>Mnie w Twej obronie,</i>	<i>I czas nie skruszy,</i>
<i>Potwór nie schłonie</i>	<i>Ni z miejsca ruszy.</i>
<i>Ogień nie spali,</i>	<i>Powszechny zamęt.</i>
<i>Burza nie zwali.</i>	<i>Krzyż mój fundament.</i>

Uważ jak to roztropnie, w onej epigramie
Przemilczano niszczące złego człeka ramie...
Jak przeczuwał los chaty, co ten wiersz dłutował,
Że w nim ręki człowieka z niczym nie zrymował -
Ręki, sroźszej nad bestie i straszne momenty!
Która tam, gdzie śmierć zadać, nieraz elementy
Wzdrygały się okrutne nieukrócone,
Moc zagładną trażyły lub pierzchały w stronę -
Gdzie teżały struchlałe potwory pożercze -
Podnosiła się z hańbą na dzieło mordercze
I spadała z ohydą!

Od dawnego wieka

Taką była w zniszczeniu słaba ręka człeka,
O czym pilnie rozczytuj Żywoty sług Pańskich
Męczenników, męczennic, świętych chrześcijańskich,
A dojdiesz prawdy sprosnej: że przeżyli męki,
Ale przeżyć nie mogli ciosu ludzkiej ręki;
Że żaden ich element nie tknął i nie spożył,
A człek ręką katowską na ziemię położył.
W tym jest wielka nauka...

Osobliwszy też jeszcze i dziś niewidzialny
Był w rogu onej izby zakątek sypialny -
Legowisko myśliwca, gdy go zmogły trudy.
Stał tam tapczan drewniany - istne dławidudy!
Długi, wąski a wzniosły, stąd smagłej postury,
Z wezłowieciem przez dwa kołki wzniesionym do góry.
Sam na nóżkach brzożowych, które to pedały
Brzożową także ramę na sobie dźwigały,
Wybitą tarciczkami wąskimi, jak szkadły.

Na tapczanie z niedźwiednia z puszystymi kudły
Rozpostarta leżała, znana z swej własności,
Że kurcz z szpiku wypęda przez nagrzanie kości,
I krzyż w górę prostuje.

Ociosany drażek

Stał wbity za tapczaniem, na nim płaski krążek,
O który wsparte strzelby: dźwirówka - marmurka,
Grzbietówka z paskiem w podłuż, okrągła dwururka,
Sztuciec do kul - kanciasty, z rówkami - trafarka,
I szturmak do krajanek, i długa janczarka -
Skupiły się gromadą w uzbrojony stożek.
Kosztur zaś, szabla, torba i prochu rożek
Wisiąły na rusznicach.

W środku krążka z dziury,

Sceprum ptasie zatknięte sterczało do góry.
Ulubieńczyk myśliwca i stałych faworów,
Najszlachetniejszy z wielkich, rzadkich białozorów,
Raróg - polak⁵ olbrzymi przezwany sternikiem,
Siedział na nim i dumał...

Z radosnym wykrzykiem

Wyprzedzając kobusów, jastrzębów, sokołów,
Rzucił się on najpierwszy lecz na grubszy połów
I powracał ostatni z łupem w dziobie żywym.
Był on przy tym w tej izbie zegarem myśliwym,
Bo zaraz po północy, z pierwszymi kurami,
Ocykał się na berle i kłapał skrzydłami.

Pod pułapem, na ścianie, w sukience z purpury,
Królewska nasza Matka z świętej Jasnej Góry,
W złocistej stała bramie, a tuż po prawicy,
Gromnica w pęku z wrzosa i polnej bylicy.
I stała tam ta matka w prawym Majestacie!
Bo raróg, co na berle przy Jej siedział szacie,
Z skrzydłami złożonymi w kształt powietrznych wiosel,
Wyglądał, jak królewski Niebios Pani poseł.

Jeżelim się nad miarę nad tą chatką bawił,
I wszystko, co tu było, *copiose* sławił,
To już najpierw dlatego, że się to kleiło,
Że wspomnieć ten porządek samemu mi miło;
Przy tym, abyś też wiedział i w pamięci chował,

⁵ Rzeczywiście pod tą nazwą znany był w dawnym ptasznictwie polskim - Białozór. Ma to być według A. Wagi (S.G.)

Jak też tam Jegomościę wytrzymają w celi?
Aż *sempiternitas* tak Waszmoście grzeje?
Bo to slysze, nie noszą giezel Dobrodzieje,
A portenki – to ledwie *Reverendus* który...
Et, może by się zdały pod habit wilczury?
Ot, ja szczęścia spróbuję a klasztor skorzysta,
I mnie zabobonnika z kleszczy antychrysta,
Wyciągnie paciorkami...”

I tym to fortelem
Rok rocznie udobruchał, jak zadany chmielem,
Matyjasz Hilarego, i tym go nakłaniał,
Że dłużej już udziału przyjąć się nie wzbraiał
W lowach na próbę szczęścia.

Z praktyką więc zgodnie,
Gdy pierwsze na firmament weszły gwiazdy wschodnie,
Klaczka Rzeška, wprzężona w pomierne saneczki,
Zajeżdżała przed chatę. Książd kwestarz bez sprzeciżki
Właził z biczem na kozioł, udając woźnicę.
Łukasz grubo ładowne wynosił rusznice
I obstawiał onymi w krąg siedzenie całe,
Poczym wkładał proścżaka, głośnego kwikałę,
W końcu siadał Matyjasz – i sza! bez rumoru
Podsuwali się obaj do krawędzi boru.

A Łukasz pogwizdując tymczasem kuranta,
Wprzągl do drabiastych sani konika Drabanta,
Pochodnię gorejącą z długiej smolnej szczapki,
Na wstręt i poploch wilkom przywiązał do drabki,
I śladem pierwszych sanek po śnieżnej kolei,
Sunał truchtem powolnym do borowej kniei.

Braciszek z Matyjaszem pod bór podjechawszy,
„Pru!” krzyknął i klacz ściagnął Matyjasz powstawszy,
Prawą ręką z siedzenia wyciągnął szturmaka,
Pod lewą pachę włożył i ścisnął proścżaka,
Przykleknął na siedzeniu i w takiej posturze
Wziąwszy na cel szturmakiem, zakrzyknął: „A nuże!
Zatnij a bez żalości po najczulszej skórze!”

I zaciął kwestarz Rzeškę, i pomkła w galopie
Brzegiem boru po wilczym udeptanym tropie.
Matyjasz lewą pachą naciskał kwikałę...
Na ton klarnetowy – wilczyśka zgłodniałe
Wybiegły wyjąc z boru szarym, długim stadem,
I pędziły za kwikiem, za sankami śladem.
Matyjasz dopuściwszy na wystrzał wilczyśka,
Pluskał im po ciemku w iskrzące ślepiska,
I za broń nową chwytal i w powtór się składał,
I co strzał, to trup świeży krwią charkając, padał.
A wilczyśka rozżarte zacieklým nęceniem,
Głośnym kwikiem proścżaka, klaczki Rzeški rzeniem,
Nie strachając się prochu, ani huku bronii,
Ściagały Matyjasza po całej Ustroni,
Jakby szturmem wziąć chciały.

Dopiero gdy z chaty
Buchło swiatło przez szyby, gdy domowe czaty,
Psy, zawyły żalośnie wietrzając Matyjasza,
Zatrzymały się nagle... a głownia Łukasza,
Który jechał za hukiem, i co strzał to zsiadał,
I hup na jedną kupę między drabki składał,
Spłoszyła niedobitki.

Otóż przerzecżony
Matyjasz, przez konterfekt dziwnie przybliżony
Podobieństwem owego pod pachą prosięcia
Do mieszka kobeżnego a kwiku do dęcia,
Wystrzałów, które zbytnie miarkowały kwiki,
Do tempów przybijania pod takty muzyki;
Naszczekiwań zaś wilczych i wyć wściekłych chorów...
Do nieskapych aplauzów głośnych audytorów...
Z tych więc wszystkich pobudek, powszechnym językiem,
Zwan był, jak to się rzekło, leśnym Kobeżnikiem,
A owe wilcze łowy na próbę szczęśliwą,
Kobzą alias dudą ochrzczone myśliwą.

Gdy tak tedy Matyjasz z Bernardynem społem,
Triumfalnym objechał swoją Ustron kołem,
Niby wilczy monarcha po bojowym szlaku;
Gdy i Łukasz tuż za nim jadący w orszaku,
Siedząc na kupie wilków, jak na danin stogu,
Nadjechał też niebawem i stanął u progu,
Znosżono łupy z sani i z wiktoria wielką
Otwierano drzwi izby.

Tu pod średnią belką
Wisiał sznurek konopny oblepiony złotem,
Na tym sznurku kagańczyk z gorejącym knotem;
Pod nim zaś wielka gwiazda (do pory stosownie)
Z oracyjnych opłatków skleciona kunsztownie,
Dzieło księdza kwestarza i Łukasza razem.
Przed w chojnę przystrojonym, cudownym obrazem,
Jarzyła się gromnica u Maryi kolan,
A z porzuconych na stos długich, smolnych polan
Buchal i skwierczał ogień w potężnym kominie,
I biła swiatłość z izby, jak w świętej godzinie
Uderzała przez wieki z Betlejemskiej szopy,
Tylko że nie niebieska.

Zbóż wszelakich snopy
Stały chyląc swe kłosy w kaźdym węgle chaty,
Na uproszenie łaski, aby od tej daty,
W której się rodzi Zbawca człowieczego rodu,
I one się rozdziły w ciężką plagę głodu.

Stół potrząśniony grubo sianem leśnym, suchym,
Wokół był obciagnięty żelaznym łańcuchem,
Na pamięć i na żywe przypomnienie sobie,
Że ten, co się urodził na sianeczku w żłobie,
Wszystkie serca ze sobą, jak ogniwa sprzagnał,
I takim to łańcuchem ziemski glob obciagnął,
By z nienawiści nie pękl.

Wigilijne strawy
Roznosząc w ciepłej parze korzenne przyprawy,
Stały na stole w misach, lub z angielskiej cyny,
Lub w biało polewanych z twardej polskiej gliny:
Siemieniucha konopna, szczupak na szafranie,
Karp w długim białym sosie, arcyprzednie danie,
Śledzie mleczną podlewką zaprawione biało,
Dalej w mące tarzane i smażone cało
Karaski z okuńkami, i drobniejsze rybki,
I wreszcie kluski z makiem, i z kapustą grzybki;
Co wszystko kuchta Łukasz z klechą Dobrodziejem
Zaprawiali makowym mlekiem lub olejem,
Bo kto pragnie Jezusa, kto czeka z Maryją,
Temu mierznie pokusa, ten pości wiliją.

Że człek dawny, gdy sprawę jaką umiłował,
To się jej oddał cały, niby młodzian w drużby,
Jak mówią z bebechami, i pieczęć tej służby,
Znać było w rąk robocie i na każdej rzeczy!

Dziś, to jakoś na opak: praca służbie przeczy.
Dla Boga niesiem pokłon a świeczkę dla czarta,
I dzieł naszych nie poznasz, jak z twarzy bękarta...
Mówię to, choć nie w miejscu, lecz w stosownym czasie,
Bo mówić, gdy co boli - i trzeba, i zda się.

W onej Wilczej Ustroni, z której karczowiska,
W tej chatce Rosochatce, z której krom nazwiska
Nic tu nie pozostało, a które to obie
Przed oczy, ku pamięci przedstawiłem tobie,
Mieszkał czasu dawnego, przepomnianej daty,
Architekt oraz *heres* wyż rzeczony chaty,
Matyjasz zwan Kobażnik, z dwornią wyćwiczoną,
Z kuchcią, strzelcem i rajcą a jedną personą...
Bo *quam unus triumvir*, wszystkie trzy urzęda
Piastował w swej osobie godnie Łukasz Zgrzęda.
Obaj byli niemłodzi... Lecz choć krzyż lat ciężkich
Przygiął im nieco grzbietu a po czołach męskich
Pięła się do łysiny długa zmarszczek drabka
Ćwiki to były czerstwe, jak zimowe jabłka.

Obaj żon nie mieli a zatem i dzieci,
I żyli tu w tej kniei, jak anachoreci.
Jakoż o nich mówiono, i nie bez pozoru,
Że ptaki im szlachetne, z sąsiedniego boru,
Niosły w dziobach na pokarmienne swoje łupy.
Tak było ale latem, gdy z twardej skorupy
Kluły się orły młode iglastymi dzioby.
W swoich gniazdach chruścianych.

Wtedy na drzew czuby
Łukasz oko swe zwracał, gdy po boru chadzał,
Zbierał gniazda z pisklety i na dębach sadzał,
Tych co rosły przy chacie, i w tym sekret rzadki,
Dlaczego na te dęby - stare orle matki
Znosiły dzicz borową a po którą z worem
Właził Łukasz, paproszył i co dzień wieczorem
Zabierał, (w tym do każdej podobny macochy)
Zostawiając dla piskląt na gnieździe paprochy.

Co zacz był ów Matyjasz i jakim klejnotem?
Skąd i na czym się pisał? Trudno wiedzieć o tym.
Gdyż w całej okolicy, wokół na sto koni,
Zwano go Kobażnikiem na Wilczej Ustroni.

Jednakże gdy na wszystko com zasłyszał baczę,
Wnoszę, że *Generosus* i tak go tłumaczę:
Że miał szablę przy boku, więc *possessionatus*;
Że gardłował *pro bono*, zatem *bene natus*.
Bo szabla o szlachcicu dowodne świadectwo,
A służba dobrej sprawie wrodzone szlachectwo.
Był to więc rycerz polski.

Jakie zawieruchy

Przygnały go w te bory, na ten wygon głuchy?
Dlaczego w tej Ustroni niby niedźwiedź siedział?
Nie mówiono mi o tym, bo i nikt nie wiedział.
Wiem tylko, że żył tutaj z zwierzęty i ptaki,
Że szum borów rozumiał, czytał gwiazdne znaki,
Że każdej bestii leśnej inak odpowiadał,

A z ptaki powietrznymi po ptasiemu gadał:
Słowem, że żył jak leśnik.

Przez pierwsze półrocze,

Od marca aż do września, wiódł życie robocze.
Robił lepy z brzozonej i świerczej jemioly,
Zaprawiał w zwierzyńcyku do łowów sokoły,
Układał pieski gończe, latał stare siatki,
Restaurował narządy, reperował klatki;
Czasami wzięwszy wąż, lub strzelbę trafaka,
Wyprawiał się na łodzi po mokrego ptaka;
Jeździł z votum dokoła w wiecowej potrzebie,
A w końcu, jak dziad z kijem, o żebranych chlebie,
Na odpust Narodzenia szedł do Częstochowy;
Skąd, gdy wrócił na jesień rozpoczynał łowy,
I rzemiosło myśliwskie, czynne i ochocze,
Wiódł już odtąd bez przerwy przez drugie półrocze.

Kobażnikiem zaś leśnym na Wilczej Ustroni,
Dlatego zwan był wszędy wokół na sto koni:
Że raz każdego roku, wśród tych głuchych borów,
Gędził... ale dla leśnych tylko audytorów,
To jest (iż go porównam z Apollem zdziczałym?)
Dał na kobzie myśliwskiej wilczyskom zgłodniałym.
Jak to było, opowiem.

Kiedy mróz grudniowy

Przejął ziemię do szpiku, kiedy śnieg ponowy
Skrzypiał pod podeszwami z gruntu przemarznięty,
Sople z dachu owisły w lane diamenty,
Nawisy z drzew spadały srebrnymi bisiorami,
Mgły się tłukły po boru, jak sennie potwory,
A chatka zmarzłą rosą pokryta poranna,
Zdała się ową w bajce czarodziejską, szklaną...
Wtedy - kiedy się w Panu każdy twór weseli,
Na Adama i Ewę, pierwszych rodzicieli,
W wigilię Narodzenia Zbawiciela świata,
Winszując szczęścia tego i dosięgię lata,
A z sobą oracyjne przynosząc oplatki,
Przychodził po kolędzie do tej Rosochatki,
Nie Pater Reverendus, Jubilatus Lector,
Lecz całego konwentu Mecenat - Protector,
Bo go stroił i żywił w dobrodziejów dary:
Kwestarz od Bernardynów, braciszek Hilary,
Dla lekkiej krotochwili zwan Mnisza Przynęta.

„Nad wszystkie dni szczęśliwe, Wigilia święta,
Jest to dzień, w którym każdy czyni swe praktyki,
Przyszłego pragnąc szczęścia posiąść prognostyki.”
Mawiał leśnik Matyjasz do księdza kwestarza:
„Ot i dziś, gdy Jegomość w sam się czas nadarza,
Warto by się przekonać, (gdy racje podwójne):
Czyli zawsze wilczyska na mą kobzę czujne?”
Trzeba szczęścia spróbować, aby przyszłe wiedzieć.”
Tu już dłużej na stolku mnich nie mógł dosiedzieć,
Zrywał się, piorunował, groził mąk łańcuchem,
I nazywał zabobon antychrystskim duchem.

Matyjasz wśród piorunów nagle się zapinał,
Powstawał, ścierał ręce i tak grom zaklinał:
„Aj, Mości kwestarzeńku, jam teolog lichy...
Ale mróz decembrowy, to panie nie chichy!
To para w gębie marznie, nos się szronem bieli.

Wszedłszy na próg Matyjasz z rozrzewnieniem rzadkim,
Łamał się wigilijnym, jak zwyczaj, opłatkiem,
I prawie w takim sensie składał chęci swoje:
„Bóg daj! Abyśmy za rok, jak tu stoim, troje,
Wy i ja, wasz in *Christo et in patria frater*,
Tę jedyną nam wszystkim wspólną *Alma Mater*,
Naszą miłą ojczyznę, w łasce Pana Boga,
W miłości u sąsiada, w szacunku u wroga,
Przez cnoty prawej próby ofiarnego hartu,
Na większą chwałę Bogu, wściekłą rozpacz czartu,
Podwyższoną ujrzeli, i abymy sami
Pod teże łaski Boskiej pewnymi skrzydłami,
Bez żadnego na ciele i duszy przypadku,
Doliczyli się wszyscy przy drugim opłatku,
I nie brakło z rąk której.”

Tu z księdzem Łukasza
Obu razem przyciskał, a ci Matyjasza
Uściskali za nogi, w czułych łzach się kając,
I „Bóg daj! Bóg spraw, ojcze!” powtarzali ikając.
Potem kwestarz odmawiał modlitwę przed stołem
I siadano spożywać, co Pan Bóg dał, społem.

Po wieczerzy i modłach dziękczynnych za strawę,
Przysuwał zaraz Łukasz do ogniska ławę.
Kwestarz usiadł pośrodku. Zza mniszej pazuchy
Dobyl ewangelijkę i czyniąc hołd skruchy,
Dał ją do pocałunku i sam ucałował.
Otworzył i ją czytać, jakby hymn skandował,
Głosem wielkim, z punktacją, wyraz po wyrazie...
Słuchacze w jego twarzy, jak w świętym obrazie,
Zatopiwszy nie oczy, ale skry płonące,
Chwytały od ust słowa w swe serca pragnące,
Tchem w piersi zatrzymanym.

W natężeniu świętym,
Dawniej praktykowanym, a dziś niepojętym,
Słuchając nie nowości, przy skrzącym kominie,
Siedzieli do północks, o której godzinie,
Gdy rarów z berła zaklapał skrzydłami,
Hukneli wszyscy zaraz wspólnymi głosami:
„*Hej w dzień Narodzenia Syna Jedynego,
Ojca Przedwiecznego, Boga prawdziwego,
Wesoło śpiewajmy,
Chwałę panu dajmy:
Hej! kolęda, kolęda!*”⁶

Ksiądz kwestarz raz dyszkantu popuściwszy wodze,
Podniecan kupą wilków w kącie na podłodze,
Nie mógł się już zatrzymać i z nowym zapalem
Zakończył tę kolędę stosownym finałem:

„*Przybył i Matyjasz z swej Wilczej Ustroni,
Pyta się Józefa: czyli wejść nie broni?
Do dzieciny Boga
Nie zamknięta droga.
Hej! kolęda, kolęda!
Z anioły i woły na kłęczkach do szopy,
Wstępuje dziecinie ucałować stopy,
Przy złóbeczku pada,
I dary swe składa.
Hej! kolęda, kolęda!
Hetmanie pastuszków! ażeby ci szkody
Nie czynili wilcy, nie szarpali trzody,*

*Tych bestyjek parę
Niosęć na ofiarę.
Hej! kolęda, kolęda!*

Ukończywszy kolędę, wnetże do kościoła
Jechali na pasterkę, a radość im z czoła
Błyszczała jak promienie onej gwiazdy Wschodu,
Która wiodła Trzech Króli różnego narodu.

Owóz, świeżą pamięcią ze starego wątko,
Snując rzecz wolnym ciągiem, niby z kłębka prządka,
Stałem na tym punkcie, gdzie się nitka zrywa...
Słówek jeszcze i skończę.

Jak zazwyczaj bywa,
(Bajarz nie mówi: kiedy, ale jak bywało?)
Jakby przez to nauczał, że to co się stało,
Stało się nie na dobę, lecz na wieków wieki),
Pocynam i ja także koniec niedaleki
Mojej gadki borowej, nie bacząc gdzie data?
Od owego pańskiego, łaskawego lata,
W którym, po ciężkiej zimie, co zębami dzwoni,
Zajrzała ciepła wiosna do Wilczej Ustroni,
I pobudziła ptactwo do radosnych chórów,
A zapachem żywicznym z pękających borów
I tysiącnym od kwiatów – wiała bez ustanku.

W tej tedy ślicznej wiosny pogodnym poranku
Siedział Matyjasz przed chatą na dużym kamieniu,
I piastując sternika na prawem ramieniu,
Odmawiał głosem wolnym poranne pacierze.
Łukasz siedział na ziemi i latał więcierze.
Wśród ciszy przerywanej słowami modlitwy,
Sternik, jak sił próbując do górnej gonitwy,
Stroszył pióra, rozpuszczał, krzywym dziobem głąkał,
Otrząsał się, unosił i skrzydłami plaskał,
I jakby tylko czekał rannych modłów końca,
Bo po wyrazie „Amen” zerwał się do słońca,
I zginął w jego blaskach... Tu się fakt stał dziwny!
Matyjasz w tenże moment znalezion był sztywny,
Z okiem jak zapłonionym porannym błękitem.
Tak oddał Bogu ducha.

Łukasz, co był przy tym,
Przysięgał, że na skrzydłach rozwartych sternika,
Siedziała biała dusza siwego leśnika,
I że niósł ją wciąż wyżej, aże tak wysoko,
Aże gdzie najbystrzejsze nie dopatrzy oko...

Łukasz, co sam już nie wiem jak pana miłował,
Przeżył go, na to tylko, ażeby pochował...
Sam w tydzień od tej daty, bez bólu i jęku,
Skonał zdrowy spokojnie na kwestarza rękę.
Pogrzeb mu wyprawili litośni ojcowie.

O resztę nie mnie pytaj, pustkać więcej powie
Niżli ja, bych też mówił i z największym żalem
Dixi

P.S Gawęda o Matyjaszu drukowana była w Bibliotece
Warszawskiej. Nowa Seria z Lutego XXXVII str. 284 do 301
(Stefan z Opatówka)

⁶ Pierwsza zwrotka znanej i powszechnie śpiewanej kolędy (S.G)

Kalisz

– poemat epopeicznie – liryczny Stefana z Opatówka

Gdzie od gór śląskich wielkopolska niwa
Zielono-złote rozplaszczają obszary,
Trzy wyspy Proсна w dolinie opływa...
Na nich się wznosi nasz Kalisz prastary
Pomimo wieku zawsze jędrny, młody!
Pełno w nim wszędzie zieleni i wody.

Polską Wenecją mieni się i wdzięczy...
Domy i drzewa dwoją się na wodzie,
Co płynie falą przezroczystej tęczy,
Unosząc śliczne pod flagami łodzie...
W mury się stroi a w gaje rozrasta...
Nad Kalisz nie ma piękniejszego miasta!

Wspomnienia dziejów... to przezrocza czasów!
Pod ich urokiem wstaje smętarz głuchy...
Jakby od nowych na ziemi zapasów –
Praojców wielkich opiekuńcze duchy,
Jeden za drugim, spieszą całe tłumy,
Pełne serdecznej troski i zadumy...

Najpierw przybywa, gdy błysło zaranie,
Bolko nasz wielki, ciałem, duchem, trudem,
I stawia zamek na leśnym majdanie,
Sam wojewody naznacza nad ludem,
Aby był gotów – tak knechty jak draby
Najeźdźnych hufców odegnąć od Łaby!
Grody dokoła w mury zabezpiecza,
A lud swój skupia w dzielniejszą potęgę...

W żywą go twierdzą zespolić się trudzi,
Bo dobre prawo – to mur z dobrych ludzi.

Znów rycerz śmiały jak i bogobojny,
A pan przemożny Korony i Litwy –
Tu stawia twierdzą dla krzyżackiej wojny,
Tu czerpie ducha do grunwaldzkiej bitwy!
Pilną ta praca jest mu dla narodu.
Bo co Wielkanoc puka w bramy grodu...

I wiedzie z sobą – przesławnej Macierzy
Cne profesory, orszak mędrców stary,
Do walki duchów – światłości rycerzy,
By osłabili złe wrogów zamiary,
Prawdę, co jedna wolna od pogromu,
I strzeże naród od niewoli sromu...

I znowu później – w dziejowym przezroczu,
Gdy w mgły się zmierzchny togi i birety,
Inne szeregi budzą zachwyt oczu
Młodzianki zbrojne – kaliskie kadety!
Rosną i świętym bojowym zapale,
Umieją zginąć, aby odżyć w chwale!

Z kurzawy bojów, gdzie się przez ścierniska
Oprząd skrwawiony, po poległych wieszka,
Gdzie wzrok martwieje a dech ból zaciska
Młodych pieśniarzy występuje rzesza,
Co przeczy śmierci w bohaterów łonie,
I pieśnią budzi duchy po ciał zgonie.

Dwoje młodzianków przez Kalisz bruki,
Za oną rzeszą, na jej końcu prawie,
Szło z eksternami na kursa nauki
I wnet na jednej znalazło się ławie.
Siedli przy sobie, jak bracia rówieśni,
Po jednej matce, po narodu pieśni.



Rys. Władysław Kościelniak

Obaj synowie żołnierzy – tułaczy,
Tych, co Ojczyzny, gdy w pętach zemdlą,
W boleści niemej, ale bez rozpacz,
Odbiec musieli tam, gdzie wojna wrzała...
Pełni tej wiary, że krwi kropla każda
Zbliża swych synów do swej Matki gniazda.

„Krwi rozrzutnicy” po świecie ich zwano...
Sami Ojczyznę w pierś wcielili iście...
I do tornistrów na bojowe wiano
Garstkę jej piasku kładli uroczyscie...
Tak, gdy ginęli, to w swym krwawym zgonie,
Zawsze się kładli na macierzy łonie...

Młodszy z pieśniarzy był rodem z Kalisza
Na świat przyjęły prastare go mury...
Starszy z bliskiego pochodził zacisza,
Przybył z za lasku, z za Winiarskiej góry,
Przez strużkę barwną, jak nitka tęczęwka,
Z małego gniazda, z miasta Opatówka.

Młodszy miał imię i serca Adama...
Z brzozy płaczącej na mogile - lutnie,
Co jak słowiczek odzywa się sama,
Radość swą nawet wylewając smutnie...
Toteż w pierś wzięwszy wszystkie czucia bliźnie,
Mistrzem nad mistrze stał się był w Ojczyźnie!

Starszy był polskim przewodnikiem młodzi,
Do prawdy słońca, co rozkuwa z oków,
Strzegł serca duchy od fałszów powodzi,
Która się lała z ust nowych proroków...
Śpiewał, by wytchnąć w samotni ukrycia,
Jako ptak w liściach podczas gradobicia...

Gdy co dzień krótszą jego życia droga,
Gdy nie jest pewny: czy nim jutro minie,
W grób mu nie wkłęśnie, osłabiona noga?...
O swej doczesnej rozmyśla gościnie...
O tej prastarej na ziemi gospodzie...
O tym kaliskim, drogim sercu grodzie!

O grodzie śliczny: tyś po Częstochowie
Drugą skarbnicą łask bożych wspaniałą...
Jej święty szafarz, Józefem się zowie
Dary cudowne sypie garścią całą...
Zdrowie w chorobie przywraca z rozkoszą,
I męstwo ducha, gdy nieszczęśni proszą.

O uprosz dla nas, serdeczny Patronie,
Od Pana Boga, co króluje w niebie
Zgodę i pokój! w Litwie i w Koronie!
I pomoc w każdej gwałtownej potrzebie
Pod jego skrzydły niech cicho i zgodnie
Kalisz nasz drogi oddycha swobodnie!

Jako go zbawił od pruskiej czeluści,
Tak archaniołów duch zawsze zwycięski
Niech będzie z nami! Niech nas nie opuści!
Niech gród nasz strzeże od żywiołów kłęski,
Od krwi przelewów, od moru wybuchów,
Ale najbardziej - od ludzkich złych duchów!

Podróż więźnia etapami do Syberii w 1854 roku przez Agatona Gillera

~ fragmenty ~

Spoczywałem na łóżku i powstrzymywałem myśl, która się rwała do ludzi, świata i życia, a była skazana na odosobnione krążenie, równające się bezczynności. Kraty w oknie, drzwi zamknięte, ściany nieme, z korytarza dochodzi cichy odgłos stapania żandarmów - milczenie naokoło grobowe.

W tej ciszy myśl pracuje ustawicznie, wije się ona i płacze nici pomysłów, farbuje się krwią serca, wyrwa się za kraty, bieży na pola i łągi, do domów i chat, między braci ukochanych i umiłowanych całą duszą!

Klucz we drzwiach zaskrzypnął, myśl jak bolejącą arterią ściągnąłem z rozkosznej podróży i spojrzałem na drzwi; - żandarm wszedł do numeru i rzekł: „zabieraj pan wszystkie swoje rzeczy” i stanął oczekując. Co to znaczy? Pomyślałem, zwijając manatki; serce zabiło niespokojnie, bo przeczuwałem wygnanie.

Wyszedłem na korytarz, skąd pomiędzy dwoma bagnietami żołnierzy zostałem przez żandarmów zaprowadzony do kancelarii dozorcę więzienia, kapitana żandarmerii Żuczkowskiego, zwanego Morokiem. Oliwkowa twarz jego zwróciła się do mnie z uśmiechem szyderstwa, a usta wyrzuciły słowa: „oto rzeczy - przepatrz pan czy wszystkie? a tu pieniądze, daj mi pan zakwitowanie z odbioru i za otrzymaną żywność ostatniego miesiąca.”

„Czy już wysyłacie mnie w drogę?” zapytałem niespokojnie, ciekawy, z pomieszaną radością i obawą.
„W drogę”, odpowiedział sucho (...)

(...) Doróżka bieży ś. Jańską ulicą i tu już ruch znaczny; między gromadami przechodniów, zatrzymana widokiem wywożonego więźnia, nagle stanęła kobieta w żalobie, zwróciwszy wzrok ku mnie. Suknia i kapelusz na niej czarne, obszyte białymi taśmami, twarz blada i smutna, patrzyła na mnie i płakała; zęgnęła i błogosławiła mnie świętą łzą zacna nieznajoma. Doróżka przejechała, a ona jeszcze stała i patrzyła za mną; byłem jej wdzięczny za to współczucie, za tę łzę - ona jedna wśród tłumy nie bała się zapłakać (...)

(...) Pół mili od Pragi kozacy zatrzymali się dla wypoczynku; szosą bieży praska doróżka, kobieta w niej siedząca nagli woźnicę, wózek przedmiotko się toczy, nadbiega ku nam; kobieta ledwo mnie ujrzała, wyskoczyła z płaczem i krzykiem na szosę, rzuca mi się na szyję, ścisną i całuje - była to moja siostra Honorata; odprowadzi mnie kilka mil; dowiedziała się o wywiezieniu mnie z cytadeli i pognęła za mną.

Biedni! co są przedmiotem łez, biedni ci, którzy się muszą zęgnąć, - a jednak bez tych łez, bez tego pożegnania przykro iść w drogę; ono boli, ale podnosi, umacnia i jak błogosławieństwo podtrzymuje między obcymi. Człowiek

jest zawsze samolubnym, nawet w chwili rozrzewnienia, w tęsknocie, w bólu, i nie umie ani radości ani bólu sam prze- nieść. Wie, że ból jego sprawi cierpienie ulubionym mu, że boleją widząc jego cierpienia, - a jednak mimo chęci i woli przeciwnej, miłość własna raduje się sama w sobie, jeżeli widzi iż cierpienia jej znajdują współczucie. Tak - nie chcemy, a jednak nam miło, gdy za nami płaczą! że też to człowiek w najczystszych uczuciach i natchnieniach nie może się wznieść do zupełnej miłości chrześcijańskiej i zapomnienia samego siebie; wszystko najczystsze, naj- świętsze, jeżeli przechodzi przez serce lub myśl człowieka, musi się omazać i spospolitować miłością własną. Staralem się uspokoić swoją siostrę, tłumilem jej łzy, - ale gdy zobaczyłem nowy ich źródł, płakałem sam nie tylko z bólu, ale... ale... i z radości, że tak jestem kochany.

Ruszyliśmy w dalszą drogę; tuż przy drodze stoi słup żelazny, pamiątka wybudowanej szosy, cokolwiek dalej pomnik żelazny, ozdobiony orłami, napisami, - wystawili go nieprzyjaciele na znak krwi niewinnego ludu, którą na tych polach rozlali.

Pola grochowskie - niegdyś zryte kulami, zdeptane sto- pami, zmoczone krwią, zavalone kośćmi, dzisiaj zorane i zasiane. Zboża zieloniutkie jak nadzieja pokryły groby poległych; - znana olszynka, gdzie najmężniejsi ginęli, okrywa się wiosennym liściem, skowronki wbite w powie- trze nuca niebiańską piosnkę, cicho i młodo na tych polach męstwa i chwały!

Bitwa grochowska w wojnie 1831 r. dowiodła nieprzy- jacielowi, jakiej obrony w Polsce spodziewać się musi - jest to epizod najpiękniejszy w tej kampanii, która pomimo tylu zwycięstw nie doprowadziła nas do niepodległości.

Rzecz dziwna, że my zwyciężyć umiemy, a nie umiemy z bitwy skorzystać; gdy przypominam sobie nasze wojny i bitwy, mnóstwo znajduję takich walk, w których zostaliśmy zwycięzcami, ale które nam nie przyniosły wypadków i korzyści stanowczych; zadawalnia nas chwała, a wypusz- czamy z pamięci, że korzyści są najtrwalszym i najpewniej- szym gońcem chwały. Uderzyć, zwyciężyć, to nasza rzecz, - ale zwyciężywszy gnać nieprzyjaciela, nie dawać mu wypoczynku, wielkimi poruszeniami zmusić go do cofnię- cia się, do przyjęcia bitwy, która by mu nie dawała możno- ści wygranej, walczyć, żeby zniszczyć do ostatka, mieć go na swojej łasce - tego nie umiemy. Umiemy się bronić, ale nie zaczepiać - a to jest powszechnie znanym pewnikiem, że wojna, która chce dojść do stanowczych rezultatów, musi być zaczepną. (...)

(...) Ciągnąc się pomalutku miałem dosyć czasu przyj- rzec się spagórkowanej okolicy. Łąki jeszcze się zielenia, a pola coraz bardziej ogałająca się ze zboża; za pagórkami widać piaszczystą i ciemną dolinę Wołgi. Wsie gęsto roz- sadzone, napelniają okolicę. Z pola, z domów wybiegają ku nam dzieci i kobiety z jałmużną. Obłoki bielutkie około południa pierzchły, a niebo zaciągnęło się chmurami; po- wietrze się ochłodziło, wiatr się zrywa i porusza gadatliwą osinę. Szum jej przypomina mi szum osiny, która rośnie nad grobem mojego ojca w Opatówku.

W spokojnej chwili życia siadywałem z siostrami nad drogą dla nas mogiłą; szmer osiny, co nad nami kołysała się, przenosił myśl moją w drugi tajemniczy świat - albo też pobudzał i pomagał fantazji do kształtowania marzeń swoich, a marzyłem o czynnym dla Ojczyzny życiu!!

Jakże tęskno szmer jej przygrywał sercu, które się z uroczystością w świat wyrывało. Dzisiaj - syberyjski wy- ganiec, inaczej słucham jej szmeru; szum jej nie pędzi

umysłu w przyszłość nieznaną, lecz rozwiewa zasłony, zakrywające dopiero co minioną przeszłość. Zdawało mi się, że widzę grób i rodzinę moją przy nim, że widzę matkę tęskniącą za synem i łzawą! Kiedyż będę słuchał szmeru rodzinnej osiny?(...)

(...) Po nabożeństwie wyprowadzili aresztantów przed więzienie; - obejrzeni kajdany na nogach, przykuli do łań- cuchów, do której liczby i ja należałem, dalej porachowali nas i dali znak pochodu. Bęben uderzył, karabiny błysły w promieniach słońca, dwieście pięćdziesięciu aresztantów kajdanami zabręczało - i ruszył długi wąż parami idących ludzi, po drodze wysadzonej brzezina. Spod nóg gęsty tuman kurzu wysoko się podniósł i zapowiedział mi trudną podróż, tłumiącą wszelkie uczucia, prócz uczuć niechęci i tęsknoty.(...)

(...) Przez najpiękniejszą w Kazaniu, Woskresieńską ulicę weszliśmy do starej, tatarskiej fortecy, gdzie zostałem zaprowadzony na główny odwach. Młody oficer na war- cie, przeczytawszy, że jestem p o l i t y c z n y m p r z e s - t ę p c ą, kazał mnie surowo zrewidować; jakoż żołnierze z największą ścisłością przetrząsali moje manatki; zabrali mi fajkę, tytoń, pasek, rozpruwali potem rzeczy i podeszwy u butów a w podeszwach znaleźli dziennik mojej etapowej podróży.

Myśl, że papiery te mogą zawierać w sobie bardzo ważne rzeczy, ucieszyła oficera; sądził, iż za to odkrycie otrzyma pochwałę, order lub inną znaczną nagrodę.

Przykrą mi była strata notat, w których niejeden szczegół znajdował się; prócz tego, chociaż w nich ostro- żnie wyrażałem się o rządzie carskim, obawiałem się jednak, ażeby mnie powtórnie za to, że w drodze śmiałem pisać i mieć swoje oryginalne poglądy, nie oddano pod śledztwo i sąd.

Po rewizji zapakowali mnie do samotnego, mocno zakratowanego numeru i postawili wartę pod drzwiami. Rzuciłem się na sofkę, która się w numerze znajdowała, i pogrążony w smutnych myślach i obawach odpoczywałem przez długi przeciąg czasu, aż dopóki serce moje nie na- brało hartu i nie przygotowało się na nowe śledztwa i prze- śladowania.(...)

(...)Rzuciłem wzrokiem za kraty okien, tam powietrze świeże, noc letnia, pogodna, wabi i pociąga ku sobie: gdyby się wyrwać z tej jamy, z tego zaduchu? ach! żeby zostać ptakiem i przesunąć się przez te kraty, wzlecieć i rozko- szować się aromatem lata, wyrwać się z tej niewoli, uciec w strony, z których idę! Serce mi niespokojnie zabiło i mę- czyło zrazem, bo jakim sposobem rozbić tę twardą rzeczy- wistość? niepodobna! niepodobna! i oparłem spocone czoło o zimne żelazo i tak zasnąłem.(...)

(...)Deszcz pada od kilku dni i drogę zupełnie popsuł; gliniaste pagórki są najtrudniejsze do przebycia; nóg z gliny wyciągnąć nie można, a wyciągnąwszy niepodobna jest uwolnić ich od kilkunastu funtów gliny, która stąpnać do- brze nie dozwala. Ślizga się i pada cały łańcuch, żołnierze z kolbami następują i biją, aresztanci pędem podnoszą się z ziemi, już idą, wtem jeden z przykutych poślizgnął się, upadł i wszystkich znowu łańcuchem za sobą pociągnął."

Fragmenty na podstawie: „Podróż więźnia etapami do Sy- berii w roku 1854 przez Agatona Gillera”. Lipsk 1866



U Siklawy

Przeciągły gwar zakłócił naraz ciszę,
Gdym z turni spojrział na dół...
Nie widzę dusz a przecież ciągle słyszę,
Jak głucho szumi padół...
To bije jęk, jak z potępieńców kotła,
To jak Sobótki krzyk, gdy miłość ręce splotła...

„Nie dziewcząt pieśń, ni czarcie słyhać gody”...
Rzekł wierny stróż mych kroków.
„To gędźba gór, to żywe grają wody...
To górskich śpiew potoków!
Z kamiennych warg puszcza ją go opoki,
Jak dudarz mocny dech na cały świat szeroki”.

Gdziekolwiek bądź skieruje moją drogę,
Pełna czarownych zdumień...
Prawie co krok, gdzie na głaz spuszcza nogę,
Z pod stóp mi tryska strumień...
Gdzie poszłę wzrok, wnet rzuca się kaskada,
A z nią organów szum w deszcz dźwięków się przepada...

W głęboki cień siadam u skał grzebieńia,
Wśród mchu czarnego łąnów,
W pracowni wód, co żywi od stworzenia
Przepaście oceanów...
Każda tu z gór stoi jak prządka w rzędzie...
Płynnych kryształów nić gdzieś w nieskończoność przedzie...

Ach, czarów kraj, po setne wołam razy,
Wybucham sercem całym,
A echem wnet lodowce mi i glazy
Wtórują i z zapalem...
Lecz góral mój zachwyty krzyk rozprasza...
„Nie żaden czarów kraj, toć przecie Polska nasza!”

-Błogo, że tak! Rzekłem, a myśl nie drzemie...
Ku przeszły zwraca śladom...
Nie czarów kraj! Lecz czar ma Polski imię.
Dobrzeć go każdy świadom:
Na sam jej dźwięk gra w żyłach krew do skoku,
I zrywa się człek nasz, jakby na głos z obłoku.

Nie stanie on na żadnych mar zakłęcie,
Do żadnych krwawych szranek...
Lecz „Polska chce!” – tak powiedz mu – na ścięcie
Pójdzie ci, jak baranek...
I płynie wciąż upust tej krwi aż ciemno...
Panie! Nie dopuść brać imienia jej daremno.

PIEŚŃ DO ŚW. JÓZEFA

Słowa: Stefan z Opatówka
Muzyka: Pałczyński

Gdy z kaliskiej farskiej wieży
Na mszę wzywa dzwon,
Z hołdem czci do Ciebie bieży
Lud Twój z wszystkich stron!
Z wszystkich kraju stron!

O Józefie nasz Patronie!
Z klęczek błaga lud –
Wznies nad nami święte dłonie...
Błogosław nasz gród!
Nasz prastary gród!

Plug błogosław na ugorze,
Ręki zbożnej siew,
Bujne kłosem łąnów zboże,
Kwiecie naszych drzew!
Kwiecie naszych drzew!

Powszedniego daj nam chleba,
Skromny życia los...
O cudowny, spraw by z nieba
Nie spadł na nas cios
Piorunowy cios...

Z łaski serca, a w szczodrocie
Daj nam zdrowie, moc!
I po dziennej pracy w pocie –
Cichą głową noc!
Głowom cichą noc!

Strzeż w pokoju od zarazy,
W bitwie strzeż od kul...
Czystą duszę broń od zmyzy,
Ukój serca ból...
Wielki serca ból!

Usuń z drogi cierń czy skałę?
Burz złowieszczy cień...
Daj nam przeżyć życie całe
Jako jeden dzień!
Jako jeden dzień!

I skonanie daj nam łatwe,
Bez boleści zgon...
Potem wprowadź swoją dźwiatwę
Sam przed Boży tron!
Sam przed Boży tron!

Stefan January Giller

WIECZORY WIELKOPOLANINA

~ fragmenty ~

(...) Obowiązek nauczania po polsku jest pomiędzy nami ogólny. Starszy brat i starsza siostra młodsze rodzeństwo, krewny krewnego, znajomy znajomego niechaj nauczają. Nikt od tego obowiązku, czy to w pańskim pałacu, czy w mieszczańskim domu, czy w księżym dworku, czy w chałupie włościańskiej, nie jest i nie może być uwolniony.

Majstrowie, których rząd zmusza do posyłania terminatorów i czeladników do niemieckich lub moskiewskich szkół uzupełniających, niechajże pilnie baczają, aby tam nie zapominali polskiego języka. Staranie zaś o to, aby po polsku umieli czytać i pisać, powinni mieć ciągle w pamięci obok starania, aby się wyrobili na dobrych Polaków i moralnych ludzi.

Rodzice tych dzieci, synów czy córek, które uczęszczają do szkół średnich, gimnazjalnych, realnych, wydziałowych, niechże dbają o to, ażeby te przedmioty, które profesorowie wykładają po niemiecku lub po moskiewsku, umieli także po polsku.

Sami wreszcie uczniowie, tak po gimnazjach jak po obcych uniwersytetach słuchający nauk, powinni dbać o naukę polską. Gdzie można, tam niechaj pozakładają między sobą towarzystwa do wspólnego i wzajemnego uczenia się po polsku.

Niema piękniejszego języka nad polski, byłoby to hańbą dla nich, gdyby go dokładnie nie znali i nie pracowali nad dalszym jego rozwojem.

Ale gdyby nawet ten język pozbawiony był piękności, czyż nie powinien nam być drogim i ukochanym jako język nasz ojczysty? (...)

(...) Kto rozważnie czytał pisma i mowy najzaciętszych wrogów naszych, publicystów moskiewskich i niemieckich, tego niezawodnie uderzył fakt bardzo ciekawy, mianowicie, że wtedy najwięcej się na nas miotają, najmocniej czernią i najgorliwiej dowodzą, że Polska jest trupem i nigdy nie powstanie, gdy w ich duszach odzywa się przeczucie zbliżających się chwil oswobodzenia i niezależności Polski.(...)

(...) Ponieważ nie ma żadnej wątpliwości, iż celem obecnej polityki tak w Petersburgu jak w Berlinie jest zagłada naszego narodu, jasnym więc staje się, iż spór o rodzaj i sposób naszego postępowania wobec takiej polityki miejsca mieć nie może; że więc ustać powinna wewnętrzna reakcja, która po roku 1864 rozpoczęła swoje niefortunne działanie; że rozwiązać powinny się wszystkie stronnictwa i frakcje i zwrócić się muszą usiłowania wszystkich Polaków bez różnicy stanu, wyznania i przekonań politycznych ku zachowaniu narodowości zagrożonej.

Spory, jakie wynikały z powodu powstania 1863 r. o program polityczny pomiędzy Stańczykami, Wielopolczykami, warszawskimi i petersburskimi pozytywistami, ultramontanami, socjalistami, a partią narodowo-polską i patriotyczną, które tak głęboko naród rozdzieliły w tych smutnych czasach, jakie nastąpiły po ostatniej wojnie naszej z Moskalami, nie powinny być w żaden sposób przedłużane.(...)

(...) Jak jesteśmy wszyscy, Polacy, Litwini, Rusini, - skazani zostaliśmy przez moskiewskich i pruskich polityków na zagładę. Podajmyż sobie ręce jako bracia, mający ginąć, - a wtedy nie zginiemy, uratujemy siebie i kraj, i od wszelkich niebezpieczeństw oswobodzimy.(...)

„Wieczory Wielkopolanina” zostały opublikowane anonimowo przez Agatona Gillera w 1886 r. we Lwowie (przyp. red.)

Posłanie do wszystkich Polaków na ziemi Polskiej

~ fragmenty ~

(...) Jakkolwiek wolność Polski obchodzi całą Europę, przecież na siebie jedynie liczyć możemy i powinniśmy, bo od nas samych pomyślność i wolność nasza zależy. Pod ciężkim jarzmem, pod czujnym i mściwym nieprzyjacielem, pracować musimy na naszą wolność. Dlatego to potrzebna nam jest roztropność i umiejętność korzystania z zaślepienia rządów, które coraz bardziej gwałcą prawa, coraz bardziej obrażają potrzeby narodu, same sobie upadek gotują. Przypomnijcie sobie ostatnie wypadki warszawskie i zastanówcie się jaka jedność i siła wstąpiła w nasz naród w chwili najgwałtowniejszej niesprawiedliwości rządów. Mordowanie ludzi bezbronnych i niesłyszany ucisk moskiewskiego rządu, a obok tego mordowanie prawa i słuszności względem nas w prawodawczych izbach berlińskich, różne gwałty, nadużycia, zakazy, więzienia, rabunki narzuconych nam a obcych rządów, nie potrafiły nas osłabić i strwożyć. Mordy i bezprawia siły i siłą obłąkanego rozumu, zwyciężyć nie mogły ducha narodowego. Siłą moralną, jaką nam ten duch daje, walczyć musimy i powinniśmy, dopóki sami z sobą nie urządzimy się i przez usiłowania ciche a wytrwale nie wyrobimy potęgi materialnej. Demonstracje więc tylko w pewnych razach i okolicznościach są potrzebne, kuszenie się na zbrojne powstanie bez poprzedniego obrachowania się i wyrobienia w sobie siły materialnej dzisiaj jest przedwczesne. Nadejdzie czas zbrojnego wystąpienia i wtedy, nie mając już kłopotu sami w sobie, mocni i zgodni a pewni zwycięstwa wystąpimy. Teraz z inną bronią wychodzimy na bój z wrogami! Oni mają rządy, prawa niesprawiedliwe, armaty i bagnety; my mamy Boga, ducha narodowego, potrzeby słuszne i przez wszystkich uznane i siłę moralną jaką Bóg obdarza krzywdzonych i prześladowanych.

Wielka to i potężna siła! Ona już raz w lutym r.b. pokonała na jakiś czas wroga. Rządy nie są w stanie pozbawić nas tej siły, lecz broń mogą nam jeszcze dzisiaj z rąk wytrącić. (...)

„Posłanie...” było politycznym manifestem Agatona Gillera i zostało opublikowane po masakrze Polaków w Warszawie w kwietniu 1861 r.

Walka o ciemną gwiazdę

POWIEŚĆ KARPACKA

MARYI KONOPNICKIEJ

*Tobie, coś duszę oddała niedoli...
Tkliwa i czujna a w ratunku śmiała,
Gdzie serce ludzkie całą głębią boli,
Mistrzynie zacna! coś pierwsza stawiała
Z ożywczą pieśnią o ciepłym promieniu,
Gdzie życie wędnie w mroków dusznym cieniu...
Oto - Ci złożyć w ofierze śpieszę:
Zbudzone z Karpat słowem twórczej mocy -
Na lotnych koniach przepotężne rzesze
Włóczników słońca a pogromców nocy...
Szereg skrzydlaty, rozwinięty, długi -
Z hołdem czci wielkiej - z pozdrowieniem sługi*

Stefan z Opatówka

I
Gdzie się od kresów – Śląskie góry
Na wał obronny wiążą lasem,
Jak Bożej twierdzy skalne mury
Kolczastym iglic spięte pasem –
Tam jest gór siedem takich pono...
Z których się żywa woda toczy,
A tę, co czarem więzi oczy,
Co ma z kryształów płynnych łono,
„Źródlaną górką” zwą z nazwiska,
Bo pełno źródeł z niej wytryska.

II
Potoki z gór tych bujnie płyną,
Czy po murawie, czy w parowie,
Wiecznie zieloną, wzdłuż doliną,
Co „Źródłiskami” też się zowie.
„Wiselką” każdy jest z potoków,
Póki wężowym sunie płazem,
Lecz gdy się złączą wszystkie razem,
Wtedy spływają z górskich stoków –
Płowo – ziemistą i perlową
Wisłą, rzek matką i królową.

III
W źródlanej wodzie są podziemia...
Tam - biała grotta stalaktytów
Oczy olśniewa, pierś oniemia,
Co drży od wzruszeń i zachwytów!
Tam - biały wielki bór bez końca,
Oplecion bluszczem we festony,
Oświeca brylant światłem słońca,
I słońcem nowym jeszcze gorze
W jasno-błękitnych wód jeziorze.

IV
Toń się lazurów perląc ze dna,
Przerywa szklanym szmerem ciszę...
Różowa łódka sama jedna
Na dźwięcznych wirach się kołysze...
Od tych lazurów, od tej łódki,
Co drży marzeniem Boskich wczasów,
Od owej grotty białych lasów -
Różowe w górę idą schodki,
Skryste w różowych pnączeniach sploty,
Do tejróż barwy cudnej grotty.

V
Jest to różowych palm przezrocze,
Co wielki szafir ma za słońce,
Miejsce, jak wiosny sen, uroczę...
Słowiki tu - to czarów gońce!
W zamaryłych sercach budzą życie...
Po krzewach lśnią motyli stadka.
Wśród lip z kryształów stoi chatka.
Z różowej słomy ma pokrycie.
W chatce na sieci ze złocieni
Leży Wisława, górską ksieni.

VI
Od zęba czasu, co gład kruszy,
Żadna się jej nie dzieje szkoda:
Jak w dzień rozkwitu serca, duszy,
Wiecznie jest świeża, wiecznie młoda!
Złoty jej kędzior zdobną kwiaty,
Dziewięciorniki¹ i szarotki;
Księżyc promień wiąże wiotki
Różowe z mgły porannej szaty.
Gdy spojrzy - dusza w niebo rada!
Gdy mówi - dźwięków gra kaskada!

VII
Nie leży przecież ciągle gnuśnie,

¹ „Dziewięciornik” jest to prześlizczny, biały, o srebrzystych płatkach korony a malinowych pręcikach, oset górski. Czym są „alelujki” (białe grzybienie) na wodach, tym dziewięciorniki w górach. Rozpościerają one wśród kamieni po stokach swoje białe kwiaty, jak nenufary (alelujki) na wód powierzchni, można je zatem nazwać „alelujkami gór”, a z powodu swoich suchych, nie więdnących nigdy liści i kwiatów – „nieśmiertelnikami skał”. Liście dziewięciorników są jeszcze piękniejsze od kwiatów. Długie, ciemno-zielone, pokryte srebrzystym puchem, mają one głęboko wcinane zęby, rzeźbione w koronkowe, mniejsze, fantastyczne ząbki (Stefan Giller)

Ani wciąż włosy wieńcem kwieci...
Ledwie jej rzęsy zorza muśnie,
Do pracy wstaje ze swej sieci:
Płynnego każdej Wisły węża
Zasiła w nowy źródł bogaty;
Na fantastyczne drzewa kwiaty,
Górskie mleczyno² w dłoni stęży,
I tworzy z nich cudnej roboty
W ciemnych gór głębiach –
nowe grotty.

VIII
Sierotki, zbiegłe w dół za płoty,
Jak matka z grobu ścisła czule:
Za rączki wiedzie do swej grotty,
Len górski³ przedzie na koszule.
Do łoża ścięte: mech i trawkę,
Słodyczkę z rosą rwie poranną,
Miodem je pasie, mlekiem, manna,
A dla rozrywki na zabawkę
Gwiazdkę im chwyta, gdy w dół leci,
Bo dobra jest i kocha dzieci.

IX
Cudna bogińska, górską ksieni,
Wisława ma w różowej grocie,
Lśniący tęczowo tron z promieni
Pyłem brylantów w szczerym złocie.
Gdy na nim siądzie Karpat pani,
Kłaśnie by zwołać: duchy, duszki...
Wnet z dwóch Beskidów
i z Tatr służki,
I inni wolni jej poddani,
A nawet i sąsiedzi bliscy -
Stawiają się na rozkaz wszyscy.

X
Naprzód z garbatej skały szczytów
Płynie Mnich szlaki powietrznymi...
Kaptur mu w górę - do zenitu,
Broda zaś sięga aż do ziemi.

² „Górskim mleczynom”, albo „gór mlekiem” nazywają płynne wapienie, spadające kroplami z podniebienia jaskiń. „Nasze góreckie mleko mają; można je doić” - mówią górale. Z „gór mleka” tworzą się stalaktyty. (Stefan Giller)

³ Azbest, dający się łupać na włókna szkliste, które nie ulegają zniszczeniu w płomieniach; z powodu tej własności używany był przez starożytnych dla zachowania popiołów po spaleniu ciała (Stefan Giller)

Lodowy, Krępak suną społem.
Krywań i Garluch - tylne strażę.
Z Czerwonym Wierchem Giewont
w parze,
Co sierp miesiąca ma nad czołem.
Za nimi orszak ich pośpiesza...
Mniejszych gór władców
wielka rzesza.

XI
Między władcami wielmożnymi
Są też potężne gór władczyni...
Dłonie na piersiach, wzrok ku ziemi,
Każda tak cicho, jak cień płynie...
Każda królestwa jej opoka
Swym mianem księżę swą zaszczycza...
Jest więc tu Krzyżna, jest Łomnica,
Jest Pyszna, Sucha i Wysoka...
Wszystkie w tęczowych ze mgły
szatach.
Włosy ich - w gwiazdach, w liściach,
w kwiatach.

XII
Rogata duchów złych czereda
Stawia pokusy i przeszkody...
Gromadom białym płynąć nie da:
Ściąga w przepaści, w głębie wody,
Ciska pioruny, dmie wichury -
W powietrzu walka wre dokoła...
Wisława żegna wiatr i woła:
„Rozstapcie się z swych posad góry!
Niech źli precz pójda i przepadną!...”
I dają nura w czelusz na dno...”

XIII
Gromada owa władczyń, władców,
Rozwija szereg w krąg przed tronem,
I na znak swoich dworskich radców
Sklada Wisławie hołd pokłonem.
Ona nagradza wielkie cnoty,
Potem przy stole wszystkich gości,
A gdy pożegna ich w miłości,
Śpieszy w najskrytszy kącik groty...
Twarz w dłonie chowa, ciężko
wzdycha...
Łza z ocz się stacza wielka, cicha.

XIV
Widok zebranych sług do koła
Wznawia dotkliwiej ból tej straty,
Że brak w ich gronie jej sokoła,
Bolka, olbrzyma z Wolnej chaty.
Był posłem jej, co wici wieszczę
Roznosił ptakiem, wiatrem, strzałą;
Wojakiem był, co miotał skałą;
Był wszystkim...
i czymś więcej jeszcze:
Mocą, co daje sercu życie,
Jej wiosny snem o pierwszym świecie!

XV
Wisława, ufna Bolka mocy,
Kazała wziąć mu „lotną jazdę”,
Zdobyc szczyt lodów na północy,
I tam zapalić - ciemną gwiazdę!

Aby z niej trysła światła luna
Na gór podniebnych wieczne lody,
By je stopiła w żywe wody,
I od bieguna do bieguna
Aby się stało - wszystkim w koło -
Jasno i ciepło, i wesoło.

XVI
„Jeźdźcy powietrzni” do swej drogi
Mieli dwa skrzydła, jak uszarze,
A nad kopytem każdej nogi
Koi ich skrzydełek miał po parze;
Toteż „rycerstwo to sokole”,
Przez przepaść, czy przez wód otchłanie,
Czy po pionowej skalnej ścianie
Jechało w górę, jak po stole...
W dłoni miecz z ognia, broń anielska,
Coskrą śmierć sieje w wrogów cielska..

XVII
Na szczycie lodów, wmgłach księżycy,
W śniegowym płaszczu twarz odyma -
Czerwono-sina upiorzyca,
Rudo-kudłata jęzda - Zima.
Strażą przyboczną u tej pani:
Białe niedźwiedzie, wiedźmy, zmory,
A morskie bestie i potwory
Wszystko to wierni jej poddani.
Tran ma za napój, foki jada,
Kruków i sępów przy niej stada.

XVIII
Na wielkiej brył obmarzłych kupie,
Gdzie się sadowi „jędza - baba”,
Gdy za sceptr dzierży kości trupie -
Siedzi tuż przy niej „człowiek - żaba”.
„Kołtunek - rudzik”, upiór siny,
Siedzi przy boku, koło uszka,
Bo „lubczyk” jest, bo to jej duszka,
Co wciąż rzegocze złe nowiny,
Ilekróć zezem w krąg zatoczy
Swoje wypukłe, płazie oczy.

XIX
Mądrała to, co słońcu przeczy.
Co ciągle zbacza na manowiec...
A niebywałych spraw i rzeczy
Jest to historyk i wszystkowiedz!
Czym bo on nie chce być dla ludzi?
Od wydmikufla do piniacza
Każdy ma zawód w nim działacza.
Z jędzą się swą też pilnie trzodzi:
Pomaga jej - na niebios krańce
O świecie wznosić cieni szańce...

XX
Pod ciemną gwiazdą siedzi jędza,
I kądziel przedzie z jej promieni.
Gdy już wrzecziono czarna przędza
Owije grubym wałem cieni,
Na widnokregu wschodnie końce
Rzuca je w złoty świt na niebie...
Wrzecziono noc rozwija z siebie,

Czarnym chmurzyskiem kryje słońce,
Aby odwieczne śniegi, lody,
Nie rozplynęły w żywe wody.

XXI
Z nocy na wschodzie błysło zorze,
I znikła ciemność na przestrzeniach...
Różowym złotem płynie morze,
Góry lodowe lśnią w płomieniach,
W falach się ruch potworów kłębi:
Konie, niedźwiedzie, lwy i krowy,
Ryby, homary i stogłowy
Płyną do słońca z morskich głębi...
Na przestwór niebios - z mgłą złotawą
Lotna konnica spada lawą.

XXII
Pędem dobiegła, bez zawodu,
Do ciemnej gwiazdy spod bieguna.
Z czarnych kryształów góra lodu
Tronem tam Jędzy i Kołtuna.
Z myślą zagłady go do szczytu
Wziął Bolko róg - i ciemne strony
Wezwał pobudką do obrony,
A na znak mocy, jak i wstretu,
Oburącz ujął się pod boki,
I plunął na sam szczyt opoki.

XXIII
- „Przeklęta wiedźmo! Świata zmor!”
Wrzasł do niej Bolko z całej mocy,
„Ustap się z miejsca, ty potworo!
Bo - oto koniec wiecznej nocy!
Bo oto pędzę w mgły ponure -
Zapalić słońce nad biegunem!”
To rzekłszy, skoczył wnet piorunem
Na niebotyczną lodów górę,
Z mieczem, wzniesionym nad obliczem,
Z dzidą, co w grocie tliła zniczem.

XXIV
Za Bolkiem pędem przez lazury
Szeregi lotnych szły z zapalem!
Lecz od bieguna ciemnej góry
Morze się nagle wzniosło wałem...
Wzdęło brzemienne burzą płuca...
Pękło... i bałwan za bałwanem
Miota i tłucze jak taranem,
I atak lotnych precz odrzuca -
Na wyspę białą, co szczęśliwa
W czystym powietrzu niebios pływa.

XXV
Kołtunek - rudzik, wódz Jędzony,
Jest bohaterem tej godziny!
On bowiem świsnął na trytony,
Na wieloryby i rekiny,
By wyrzucały z dna bałwany
I zgmiotły lotnych w burz odmęcie!
Wesół też jest na swoim święcie,
Je, pije, hula, wodzi tany!...
I trzy dni tak z nim czas przepędza,
Z Kołtunkiem swoim Baba - Jędza.

XXVI

Wyspa, gdzie spadły lotnych ławy,
Ma pasma gór z białych obłoków,
Z szafirów płynnych wielkie stawy,
I szafir płynie z jej potoków.
Balsam się sączy w bujnym lesie
Kroplami z drzew najwonnejszymi.
Wyspa się zowie: „Podniebiesie”.
Pierwszy to Czyściec zmarłych ziemi..
Tu z ciał zmywają kurz i poty,
Tu dobywają wgrzęzłe groty.

XXVII

Tu lotni weszli do kąpieli,
Tu zabliznili rany bitwy,
Tu też użyli i niedzieli
Na odpoczynek i modlitwy...
Tu w poniedziałek o rozświcie –
Gdy w blaskach księżyc zbladł na
niebie,
Co je rzucała zorza z siebie,
Budząc dokoła ze snu życie -
Dała się słyszeć z gór pobudka,
Jak trzask piorunu, żartka, krótka.

XXVIII

Piorunem też przed naczelnikiem
Stanęli lotni, żądni sławy.
Bolko powiatał ich okrzykiem,
I taki wskazał cel wyprawy:
- „Chcąc zatlić ciemną gwiazdę nieba,
To górę, co jest świata końcem,
Zmartwiała pod tym zgasłym słońcem,
Od szczytu brać koniecznie trzeba,
Aby nie ulec znów przemocy
Wściekłych bałwanów, burz północy.

XXIX

„Hejże! więc za mną, lotna młodzi!
W górę wznies oczy! wyżej duchy!
Pójdziemy w kraj, gdzie świt nie
wschodzi!
W kraj dziennych mroków, martwy,
głuchy!
Pójdziemy w kraj, gdzie śmierć na
straży
Noc ze dnia robi swoim cieniem...
W kraj, co mu nicość jest istnieniem!
Co w śnie zmartwiałym o dniu marzy...
By rozwiać nad nim mgły powicia, -
Zapalić słońce, gwiazdę życia!”

XXX

Gdy skończył, skinął, puścił wodze...
Lotni wnet za nim, biali, czyści,
Ruszyli po promiennej drodze
Jak archanieli promieniści...
Wkrótce padł opar,
z wszelkim gadem,
Że ciężko brnąć im, jak z topieli;
Wkrótce doznali dżdżu kąpieli
Od piorunowej burzy z gradem,
A mgłą zalani tuż pod górą,
Zdawali się mar nocnych chmurą.

XXXI

Kołtun, hetmanek rudo-głowy,
Takie im w drodze czynił wstręty,
Aby powstrzymać atak nowy:
On w opar zmieniał móżdżek odmyty,
Chcąc ich pochować w wodnym pyłe...
On w lotnych miotał burz wichury,
Aby ich strącić w przepaść z góry,
I światła im udzielał tyle,
Co migła błyskawicy łuna,
Albo ognisty wąż pioruna.

XXXII

Jęcza zaś garścią z ciemnej gwiazdy
Rzucała na dół grube cienie,
By zbłąkać atak lotnej jazdy,
Zagasić mieczów jej płomienie!
Czarne wrzeczono po wrzeczonie
Miotłała potem w jeźdźców z mocą,
I taką ich spowiła nocą,
Że stygło serce w każdym łonie,
A od większego coraz chłodu
Tężało w ciemny rubin lodu.

XXXIII

Niczym grad, ognie, susze, wody,
Co wiodą głód zgnęźniały, nagi.
Niczym mór, co w grób zmienia grody!
Nad ciemność nie ma większej plagi!
W ciemnościach - walka bez obrony,
Wszystcy na wszystkich godzą skrycie...
W ciemnościach - gaśnie wszelkie życie...
W ciemnościach - giną miliony!
W ciemnościach - zgubą każda droga,
Miecz tnie pierś brata zamiast wroga!

XXXIV

Ofiary walk zdjął sen głęboki...
Każda z nich leży tam, gdzie padła.
Lodowe kryją je powłoki,
Jak z alabastru prześcieradła.
Błady, posępny blask księżycza
Oświeca: wielkość śmierci plonu,
Dzielność wojaka w chwili zgonu,
Zadumę oczu, grozę lica,
Z jakimi zeszedł z tego świata,
I w jakich z grobu w niebo wzlata...

XXXV

Jęcza z Kołtunem na biesiadę
Sprosil wszystkich diabłów smycze,
I wszystkich diabolic wściekłą radę.
Obeszli z nimi swe zdobycze.
Palcem tykali piersi łupów:
Czy jeszcze serce bije w łonie?
Bolka się bali nawet w zgonie,
Więc go przenieśli precz od trupów,
Na krę samotną, z dala ziemi,
By nie spoczywał ze swoimi.

XXXVI

I tam się nie zdał im bezpieczny...
Duch do zwłok czasem wrócić może...
Pogromy świątłych- to strach wieczny!

A nuż ich zbudzi świtu zorze?!...
Więc służbie swej diablego rodu,
Chcąc Bolka w twardej mieć mogile,
Kazali na-ń lać wody tyle,
Aż nie zamarnie w górę lodu.
Za wszystkie te roboty czarcie
Dostali smoły aż po kwarcie.

XXXVII

Wkrótce wojenna granic siła,
Jaką te ciemne miały kraje,
Przybiegła donieść, że mogiła,
Jak od wulkanu, szybko taje...
Ze płyną z niej strumienie, rzeki,
Że wkrótce się skorupa przetrze,
Ze dziurką wejście w grób powietrze,
I że ten czas już niedaleki,
w którym znów w Bolka wstąpi dusza,
Bo trup paluszkim już porusza!...

XXXVIII

Przestrach z tą wieścią spadł piorunem...
W jakanie przeszła mędrców swada...
I pod Jęzłoną i Kołtunem
Orzekła trwoźnie wielka rada:
Że w dni świąteczne: czy powszednie,
Trzeba rogatych zwać pomocy,
By domrażali góry w nocy,
O ile jej stopnieje we dnie,
Albowiem znać, że i po zgonie
Pierś wodza świątłych zniczem płonie!

XXXIX

O! tak, wódz świątłych nie umiera,
Choć gwałt mu może wydrzeć życie!
Z podziemi grobu bohatera
Przez wieki słyhać serca bicie!
Przez wieki ono - pokolenia
Budzi i chroni od zepsucia,
Od pokus zguby, od otrucia,
A w bólach cierpienia - od omdlenia!
Przez wieki jest ogniskiem ducha,
Co grzeje, krzepi i wybucha!

XL

Na widnokręgu wielkim ducha
Współczucie istot, ukochanie,
Odmiennych praw przedwiecznych
słucha,
Niż ciał niebieskich przyciąganie.
Im duch nam miły dalej kroczy,
Tym miłość zwiększa się w swej sile,
A gdy ideał już w mogile,
To się najmocniej z nim jednoczy,
Nie bywa nigdy więc wspomnieniem...
Miłość jest wiecznym
współistnieniem.

XLI

Gwiazda Wisławy zgasła złota...
Im dłuższy Bolka czas niewoli,
Tym większa męczy ją tęsknota,
Tym bardziej w piersiach serce boli,

Tym mocniej gnębi wielkość straty...
Gdy dziwożony, wieszczę dziady,
Na troski jej nie miały rady,
Sama udała się w Karpaty
Do gwiazdomistrza, astrologa,
Co znał niebieskie pismo Boga.

XLII
Pod szczytem stary mieszkał w grocie.
Z przedpotopowych ksiąg stuleci
Warzył tam leki i łakocie.
Karmił i uczył górskie dzieci.
Przez wolne chwile reszty dzionka
Żłobił w pniach grubych długie dziury,
Zmieniał je tak na wielkie rury,
W które ładował gwiazdy - słonka,
Te zaś wypuszczał, jak z armaty,
Ogniste kule - w ciemne światy.

XLIII
Na ból Wisławy, na zamiary,
Na prośby serca w imię nieba,
Odrzekł gwiazdomistrz ów z pieczary:
„Ciemności słońcem zwalczać trzeba.
Ja jestem mistrz tej sztuki Boskiej!”
I wnet (komenda była taka)
Z maszyną usiadł na rumaka.
Tak uzbrojony, próżen troski,
Mając przy boku swym Wisławę,
Ruszył pod biegun na wyprawę.

XLIV
Lodowa góra z ciemną gwiazdą
Pokryta była grubą nocą,
Kiedy gwiazdomistrz z lotną jazdą
Przybył świt wzniecić swą pomocą.
Wzdłuż granic spały czarcie ciury...
Zaraz więc z owych, co nie gasną,
Zdjął z nieba gwiazdę jasną;
Do swojej ją wpakował rury,
Wypuścił w stronę ciemnych grodów
I zatlił martwe słonko lodów.

XLV
Rozbłysło... i wnet światło spada
po stopniach lodu z góry na dół,
Jak promienista wód kaskada
Na szmaragdowy morza padół.
Im mocniej, żywiej słonko pała,
Tym jaśniej, barwniej góra płonie,
I wciąż w odmiennych blaskach tonie,
Że zda się być złożona cała
Ze lśniących skał drogich kamieni -
Barwami tęczy tak się mieni...

XLVI
W południe - słonko pali żarem,
Powietrze pełne dusznej spieki...
Z góry lodowej, jakby czarem,
W kaskadach z szumem płyną rzeki...
Z brył topniejących - lotni rzeszą
Powstali z końmi i z orężem;
Powstał i Bolko żywym mężem,
I do Wisławy wszyscy spieszą,

Skąd patrzają... jak od światła mocy
Kona i ginie państwo nocy.

XLVII
Jęcza z Koltunem, światło-wstręci,
Przed coraz żywszym słonka biegiem,
Pierzchając z cieniem, jak przekleści,
Stanęli tuż nad morza brzegiem,
Lecz i tu skwarem praży dzionek...
Wtem - czarci herszt pchnął
w toń ich zdradnie
I przebił rogiem w morzu na dnie.
W błękitach dzwonił już skowronek,
I torem smużki z dwóch promieni
Spuścił się w świeżą ruń zieleni.

XLVIII
Tak zapaliwszy ciemną gwiazdę
Na chwałę niebios i narodów,
Tak uwolniwszy lotną jazdę
Z grobu niewoli, z trumny lodów -
Gwiazdomistrz, Bolko i Wisława
Dali znak wojsku do powrotu,
Do ziemi - Ojców, krwi i potu.
Powietrzną drogą szła wyprawa,
A gdy ujrzała Karpat szczyty,
Pieśń im posyła przez błękity...

XLIX
POWITANIE GÓR MACIERZY
Zorzy różowy świt
zmienia w pochodnię szczyt,
Rumieńcem się z nieba uśmiecha...
Krakaniem orłów chór
śle pieśń nam z wiatrem gór...
W takt biją jej serc naszych echa!
Widać kraj... istny cud!
Po skałach płonie lód,
a w halach rozkwita maj świeży...
Do ciebie górski człek
tęskni przez życia wiek,
O ty! podniebieska macierzy!
O! witaj! z jutrzni bram,
wschodząca w złocie nam!
O! witaj! serc biciem wesołym!...
Do twoich niesiem stóp
- miłości wiecznej ślub!
I sami w proch ściełem się - czołem!

L
Na odgłos pieśni powitania
Schylają się olbrzymów głowy...
Kłania się Grzebień⁴, Krępak kłania,
Łomnica, Krzyżna i Lodowy...
Wszystkie w pokłonach gór łysiny...
Pyszna⁵ z Wisławą wchodzi w radę
I prosi wszystkich na biesiadę
Do najpiękniejszej Tatr doliny,

⁴ „Polski Grzebień” – szczyt od strony Węgier

⁵ „Pyszna” – szczyt najwyższy nad Kościeliską Doliną

Co raję jest zjawiskiem nowym,
I „skamieniałym gór Krakowem”⁶

LI
Tu w Kościelisku⁷, gdzie spod skały
Czarny Dunajec toczy wody,⁸
Stanął wyprawy obóz cały...
Tu władcy, wodze, wojewody,
Wznosili w niebo pełne rogi;
Z „Trzech Źródeł”⁹ pili nektar Boski,
Co goi rany, koi troski!...
Tu wspominali zwycięstw drogi...
Tu byli szczęśli, jak bogowie,
Gdy w słońcu dają: moc i zdrowie!

LII
Bojów o światło pieśniarz lichy,
Za ojców i za swoje winy,
W czyścicu włókl żywot tęskny, cichy...
Pragnąc raz wybrnąć z łez doliny,
Gdy w piargach sobie drogę ściele,¹⁰
Zagrzązł w Kościeliskich
skał szczelinie.
Tam - z rozpraw przy biesiadnym
winie -
W ukryciu swoim słyszał wiele,
Jak nieproszony gość ze świata...
Gdzie, jak walczyła brać skrzydłata...

LIII
Z tym skarbem wiedzy wprost ku
górze
Darl się ów pieśniarz do bram raję,
Lecz chłostą fal odparty burzę
I zapędziły go do kraju,
Bo taka była wola nieba,
Aby ufali ludzie nasi,
Że znicza serc zły duch nie zgasi,
Że ciemność słońcem rozwiać trzeba,
Że świat innego nie zna wroga,
Że światło - do swobody droga!

Stefan z Opatówka

⁶ Część Kościeliskiej Doliny, pełna pięknych wspaniałych szczytów, podobnych do wieżyc kościelnych - tak się nazywa. Pokazują tu górę, którą, dla podobieństwa także, nazywają „Panną Marią skamieniałego Krakowa”(S.G.)

⁷ Kościeliską Dolinę nazywają też wprost, w skróceniu „Kościeliskiem”. (S.G.)

⁸ Skała, z której przez wielki, ciemny otwór wyrzuca się Czarny Dunajec, nazywa się „Pisara”, bo, jako wapniak, jest miękka i łatwo ostrym gwoździem pisać po niej można. Od połowy też prawie pokryta jest podpisami wędrowców. (S.G.)

⁹ „Trzy Źródła” w trzy różne strony biją z jednego miejsca w Dolinie Kościeliskiej (S.G.)

¹⁰ „Piargi” są to okrzoski skał na „złwach”, czyli „zlewach”, albo na górskich ściekach deszczowych. (S.G.)

Opisanie Zabajkalskiej Krainy w Syberii przez Agatona Gillera

~ fragmenty ~

Franciszek Ksawery Szokalski był synem Józefa i urodził się w dzisiejszej kijowskiej guberni. Był on doktorem medycyny; za udział w powstaniu 1831 roku, był posłany do wojska moskiewskiego w Omsku. Tam razem z księdzem Sierocińskim kierował wielkim związkim między polskimi jeńcami wcielonymi do wojska. Celem tego związku była ucieczka ze zbrojną ręką z Syberii, połączenie się z Kirgizami, którzy podówczas ucierali się z Moskalami, a potem przez Persję lub Indostan dostanie się do Europy. Zamiar mógł się udać, bo Polaków w Omsku i w okolicach jego było przeszło 2400, a step kirgiski tuż pod bokiem. Związek na kilka dni przed wybuchem został odkryty za pomocą zdrajcy Knaka, który denuncjował swoich kolegów. Rozpoczęły się aresztowania i jedno z najokropniejszych prześladowań Mikołaja, który się wściekał z gniewu i ze złości, iż i Syberia i klęski, ducha i energii Polakom nie odjęły. Szokalski w liczbie innych był aresztowanym. Osadzili go w więzieniu na odwachu. Stąd po wielu trudach potrafił uciec razem z Ignacym Zubczewskim i Melodiniem. Szokalski miał paszport wojskowego moskiewskiego doktora; Zubczewski odgrywał w drodze rolę felczera, a Melodini Służącego. Uciekali pocztą po trasie wiodącym do orenburskiej guberni. Niestety chcieli, że w Presnowsku wszyscy trzej zostali zatrzymani, poznani i następnie pod silnym konwojem odesłani do Omska, gdzie wkrótce potem Szokalski, jako jeden z najczynniejszych ludzi w związku, otrzymał okrutny wyrok na 6000 kijów. Mikołaj najzaciejniejszych rozkazał zamordować kijami, a egzekutorowi generałowi Gołofiejew, polecił mordować wszystkich bez litości i folgi. Dzień egzekucji (7 marca 1837 r.) był mroźny; na placu za miastem zasypanym śniegiem, ustawiono trzy bataliony żołnierzy uzbrojonych w grube i długie kije. Szokalskiego wprowadzili pierwszego w ulicę żołnierzy; był jak i wszyscy jego koledzy obnażony i przywiązane miał ręce do kolby karabinu, za który kilku podoficerów ciągnęło, gdy z obydwóch stron sypnęły się razy kijów i sypały się ze złością i zawziętością, o jakiej dzieje nie wspominają. Za nim szedł ksiądz Sierociński, a za tym dwunastu innych. Kije porwały ich na kawałki, płaty oderwanego ciała ciągnęły się za nimi; kości było widać a plac egzekucji był purpurowy od krwi w tak okropny sposób wytoczonej!

Przy każdym delikwencie znajduje się zwykle doktor wojskowy, który trzeźwi zemdląłego i daje opinię o jego siłach. W bliskości Szokalskiego znajdował się doktor nazywający się, jeżeli mnie pamięć nie myli, Szaniawski. Człowiek ten tknięty barbarzyńskim katowaniem zanego człowieka i swojego przyjaciela, wołał na żołnierzy, idąc za

Szokalskim; „Lżej bić, lżej bić, miejcie litość, lżej bo nie wytrzyma!” Idący zaś także za nim oficer, zajmujący posadę horodniczego w Omsku, wydawał przeciwne rozkazy i krzyczał na żołnierzy, żeby go mocniej i okrutniej bili. Szaniawski certował się ciągle z horodniczym, aż wreszcie zawołał na niego: „Nie wtrącaj się pan w rzeczy nie swoje! Będziesz wówczas rozkazy wydawał, gdy będziesz na szafocie bił knutami aresztantów. Tu nie dozwolę rozkazywać, nie pozwolę mieszać się w moje atrybucje. Jestem doktorem i wiem, co i ile może delikwent wytrzymać. To jest rzeź, to czyste morderstwo a nie egzekucja, po coście więc mnie tu wzywali? Ja nie chcę być świadkiem bezprawia i morderstw!” Już nieszczęśliwy Szokalski padając więcej razy niż Chrystus w drodze do Golgoty, otrzymał 5000 pąlek i padł znowuż na ziemię. Szaniawski przybiegł natychmiast do niego i rzekł: „Jak się czujesz? Jeżeli masz siły, lepiej byłoby od razu skończyć egzekucję.” „Jestem tak zbity, że już nie wytrzymam brakujących 1000 kijów” odpowiedział ledwo słyszalnym głosem Szokalski. Szaniawski więc wbrew woli władzy przerwał egzekucję, dał opinię, iż Szokalski nie wytrzyma więcej bicia, i oświadczył, iż on, jako doktor, korzystając z praw służących mu w takich razach, nie dozwoli, ażeby konającego jeszcze bito. Ustąpiła władza miłosiernemu i dzielnemu doktorowi i odesłała Szokalskiego do lazaretu. Postępowanie Szaniawskiego rząd Mikołaja uznał za występne i odsunął go. Karząc w nim sprawiedliwość i miłosierdzie, od obowiązków. Inni lekarze, którzy znajdowali się przy egzekucji kolegów Ksawerego, obawiali się okazać im litość i nie użyli tak szlachetnie praw im służących, jak Szaniawski, któremu tylko samemu Szokalski winien był życie.

W pół godziny po Szokalskim przyprowadzili do lazaretu poszarpanego lecz żyjącego jeszcze ks. Sierocińskiego i czterech innych, którzy także otrzymali po 6000 kijów, i kilku, którzy mniej, bo po 3000 otrzymali. Sierociński pasując się ze śmiercią, w ostatnich chwilach życia nie myślał o sobie tylko o koledze. Patrząc na okrutne męki Władysława Drużyłowskiego, uznał się nad nim, a nie mogąc się podnieść, wołał umierającym głosem do Szokalskiego: „Doktorze! ratuj Drużyłowskiego; bardzo cierpi.”

Ale Szokalski tak był zbity, że nie mógł na łóżku poruszyć się i wołał do Sierocińskiego: „Księżo, prosz kogo innego o ratunek dla Władysława; ja zupełnie nie mam sił i powstać z łóżka nie mogę!” To były ostatnie słowa, które do siebie ci zaci ludzie wyrzekli. Ratował ich Franciszek Knoll, który także 3000 kijów otrzymał, lecz ratunek jego na nic się nie zdał. Wkrótce, bo w pół godziny po egzekucji, umarł w najokropniejszych cierpieniach Drużyłowski, za nim zaraz Sierociński, Melodini, Jan Wróblewski i Zagórski oddali Bogu ducha. Jabłońskiego, obywatela z Wołynia, zabili na placu, i trupa już jego przywiązawszy do sani, bili dla dopełnienia liczby uderzeń naznaczonej wyrokiem. Szokalski przyszedł do zdrowia, a gdy mu rany zablizniły się, wyprowadzono go powtórnie na plac, dla dopełnienia brakującego do 6000 pąlek. Generała Gołofiejewa już nie było, bez obawy więc kary za zlitowanie się nad Polakiem oficerowie kazali go lekko smagać. Jeden żołnierz uderzył go kijem między oczy i przeciął mu czoło i za to wytrącono go z szeregu. Otrzymałszy owe 1000 kijów, na drugi dzień wywieziony został do kopalni nerczyńskich.

W kopalni nie używano go do roboty, a wykształcenie i powaga w postępowaniu zjednały mu nawet szacunek wrogów. Mieszkając w Karze miał dosyć liczną praktykę, a prócz tego dosyć znaczny dochód z handlu. Mógł utrzy-

mywać się wygodnie, żyć i ubierać wykwintnie. Lecz Szokalski wszystko, co miał, miał dla biedniejszych braci rodaków; sam niewiele potrzebował, a nosił się jak najskromniej. Zwyczajnym jego ubiorem tutaj było palto z brunatnego samodziału, z którego tutejsi chłopcy robią siermięgi, kołnierzyk oszyty futrem sobolowym, a podszewka była jedwabna, grodenapłowa. Bogatsi jego pacjenci robili mu różne uwagi z powodu jego ubioru, lecz one nie wpływały na doktora, który lubił prostotę i przyzwyczaił się do swego ubioru. W leczeniu był bardzo szczęśliwy, szczególnie rany dobrze leczył. Słabe zdrowie, własne cierpienia nie odciągnęły go nigdy od obowiązku niesienia pomocy bliźnim: niósł ją rodakom i nieprzyjaciółom.(...)

(...)Lamowie, jak wiadomo, nie tylko są kapłanami, ale i lekarzami. Medycyna ich od wieków ani kroku ku doskonałości nie zrobiła. Księgi medyczne pisane w tybeckim języku przed tysiącem lat, i dzisiaj są dla nich jedyną instrukcją i źródłem nauki. Nie obserwują jak europejscy lekarze, nie kombinują symptomów choroby, nie badają natury człowieka i nie robią żadnych eksperymentów mogących udoskonalić naukę (...)

Wiara w medycynę lamów, nawet między Moskalami jest powszechna, i chorzy chętniej powierzają swoje zdrowie w ręce lamy, niż w ręce europejskiego lekarza. Widziałem chorujących na niewyleczone choroby, dla których już nasza medycyna nie miała żadnego środka, z ufnością z dalekich stron udających się do lamów w przekonaniu, że oni jedni siły i zdrowie powrócić mogą. Nieraz udaje się lamom wyleczyć trudną chorobę, lecz pojedyncze wypadki nie mogą być powodem pochlebnego sądu dla ich medycyny w ogóle (...) Szarlatanizm jednak, modlitwy, sposoby cudowne, które i u nas pod formą zażegnowań praktykują się, osłaniają grubą niezajomość lekarską większości lamów. (...) medycyna buddajska zasługuje jednak na uwagę i badanie. Lekarz, który by chciał poznać ją, znalazłby może niejedną sposob, który by się dał z pożytkiem w naszej medycynie zastosować.

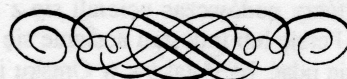
Buriaci odosobnieni i odcięci od środka duchowego i naukowego ich życia, nie tylko w wierze, ale i w medycynie, połączonej z religią, mniej umieją, niż Tybetanie i Mongołowie. Nie każdy lama jest lekarzem, albowiem nie każdy zna język tybecki, w którym są księgi święte i medyczne pisane. Niższych stopni duchowieństwo oddaje się praktykom religijnym, nauka lekarska jest mu obcą. Lub ją zastępuje szarlatanizmem. Środki, jakich używają dla podniesienia powagi swojej, poznać można z dwóch następujących faktów.

Pod Kiachtą w ułusie mieszka kilkanaście buriackich rodzin. Dla odprawienia nabożeństwa przyjechał pewnego razu do nich stary lama. Po nabożeństwie Buriaci przystąpili do niego i prosili o błogosławieństwo. Lama wydobywszy z za pazuch świętą książeczkę, błogosławił każdego, dotykając nią głów nachylających się. Gdy stanęła przed nim najbogatsza w ułusie Buriatka, lama wstrzymał rękę wyciągniętą do błogosławieństwa, spojrzął na nią surowym wzrokiem i rzekł: „Umrziesz w tym roku!” Kobieta zatrzwożona z płaczem prosiła lamy o ratunek i sposoby uniknięcia okrutnego przeznaczenia. Lama odpowiedział, iż może ominąć losy wyroku najwyższego modlitwami i prześlaniem rozgniewanego przed nią bóstwa. Przez cały rok Buriatka – zapraszała do siebie lamów, karmiła ich, hojnie płaciła i ustawicznie z nimi modlitwie była oddaną. Minał rok, Buriatka nie umarła, a wyznawała z wiarą, że dalsze życie winną jest opiece i nabożeństwu lamów. W następ-

nym roku nie mogła już do siebie zapraszać lamów, gdyż nie miała ich czym opłacać, wszystko z niej wyciągnęli troskiwi o jej życie lamowie.

Inna znów Buriatka w Kiachcie niebezpiecznie zachorowała, lama podjął się wyleczyć ją pod warunkiem, że w żadnym razie nie uda się do europejskich lekarzy. Buriatka przysięgła, lama ją leczył, lecz jego lekarstwa nic biednej kobiecie nie pomagały. Mąż chorej zwątpił w lamę i do konającej już przywołał lekarza, swojego przyjaciela. Ratunek był niepodobny, chora wyzionęła ducha, a lama rozgłosił, że złamanie przysięgi spowodowało śmierć i wszyscy mu uwierzyli. Takimi sposobami zyskują lamowie wiarę w swoją medycynę i poszanowanie, i takimi odstręczają Buriatów od europejskich lekarzy. Tymczasem mnóstwo ich umiera wskutek złego leczenia, na gorączki i syfilizm, który acz w mniejszym stopniu, niż między Tunguzami, bardzo jest jednak i między Buriatami rozszerzony. (...)

Na podstawie: "Opisanie Zabajkalskiej Krainy w Syberii przez Agatona Gillera". Lipsk 1867



Agaton i Stefan Gillerowie byli szanowani i doceniani przez współczesnych. Ich pogrzeby były patriotycznymi manifestacjami. Na pomniku Agatona widnieje epitafium, którego autorem był Teofil Lenartowicz:

**Przechodniu, abyś w Polskę jak ten zmarły wierzył,
Idź i czyn! Dobry przykład serce twe ośmieli,
Twój brat wygnaniec drogi sybirskie przemierzył,
Prześladowanie cierpiał długo w cytadeli.
A przecież dobre serce w wichrach nie ochłodło,
Ani je południowe żary nie wypiekły,
Podziwiał nieprzebrane, cudowne to źródło,
Z którego myśli wzniosłe i lzy czyste ciekły!
A jeśli już w Polskę zwątpiłeś bez końca,
Odejdź! I cieniem swoim nie zasłaniaj słońca!**



Redaguje zespół w składzie:

Bożena Banasiakowa, Anna Burkowa,
Jan Kowalkiewicz, Piotr Kuczyński,
Stanisław Kuś, Jadwiga Miluška-
Bunclerowa, Elżbieta Rogozińska

Korekta: Elżbieta Rogozińska

Współpraca: Barbara Sulwińska

Skład: Małgorzata Judasz

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Opatówka

Gminna Biblioteka Publiczna